



## DO OJCZYZNY ZE SZTANDAREM

ZROBIONYM POTAJEMNIE W AMERYKAŃSKIM OBOZIE JENIECKIM POWRACA CHIŃSKA OCHOTNICZKA LUDOWA JANG JU - HUA, KTÓRĄ WIDZIMY NA ZDJĘCIU W OTOCZENIU DWÓCH TOWARZYSZEK (PATRZ FOTOREPORTAŻ NA STR. 9)

# NASZA KRONIKA

**O** GORZAŁE, wysportowane, zdrowe wróciły setki tysięcy dzieci i młodzieży do miast — do nauki i do pracy. Wrócili starsi, odmłodzeni i jak młodzi weseli i ogorzali. Gdy się idzie ulicą, aż przyjemność na ludzi patrzeć. Aż kipi w nich energia i zapał. Widać coraz lepiej jak organizujemy ludziom wypoczynek — wczasy dla dorosłych, kolonie i obozy dla młodych. Coraz więcej starych i młodych wędruje poza miasta po słońce, po zdrowie, po wypoczynek.

Sumując u progu jesieni bilans lata, uznając plan lata w zakresie wczasów i wypoczynku za dobrze wykonany, nie można nie zwrócić uwagi na pewne w tym bilansie pozycje smutne i niepokojące. Oto z wielu stron kraju, a zwłaszcza z nad morza i z Tatr, dochodzą smutne wieści o licznych wypadkach, jakże często śmiertelnych. Nie jesteśmy fatalistami w niczym, a więc i w tym zakresie nie wystarczy nam stwierdzenie, że w morzu ludzie toną, a w górach, kto chodzić nie umie, ten też na śmierć się naraża. I na tym koniec.

Wydaje nam się, że wcale tak być nie musi, by tyle było, jak w tym roku, wypadków nad morzem i w górach: że wypadkom tym można i należy zapobiegać. Tak jest — z a p o b i e g a ć! Bo główny problem polega nie na dobrym organizowaniu ratownictwa, ale przede wszystkim na dobrym uświadomieniu człowieka po raz pierwszy udającego się w góry lub nad morze.

**N** IE WIEM, jak tam w tym roku w Zakopanem, ale przez długie lata na stacji kolejowej w tej miejscowości wisiało bardzo wiele plakatów ostrzegawczych. Dyły to mianowicie plakaty na temat bezpieczeństwa i higieny pracy. Plakatu ostrzegawczego z zakresu górskich wycieczek nie zobaczyłeś ani jednego. W samym Zakopanem także nie.

Przyjeżdża więc taki ceper, widzi góry jak góry, słoneczko świeci, ścieżka prowadzi lekko, więc idzie. Nie orientuje się, jak wielkie w górach są różnice temperatur (skąd ma wiedzieć, całe życie spędził na przykład na Mazowszu). Nie wie, że łatwiej często iść pod górę niż schodzić. Nie wie, że noc zapada szybko, że góry są zdradliwe, nie orientuje się, że zejść z górskiego szczytu to nie to samo co zejść z Placu Trzech Krzyży na Czerniakowską. No i nieszczęście gotowe.

O bohaterstwie i sprawności ludzi z naszego Pogotowia Tatrzańskiego — tomy pisać. Ale naprawdę za często do niego się odwołujemy i zbyt często za późno.

Nad morzem jeszcze gorzej. Bo tu i znaków ostrzegawczych niewiele i z ratownictwem nie tak dobrze. Dają człowiekowi skierowanie wczasowe. Dokąd? Do Jastarni! Nawet na mapę nie spojrzysz, wsiada w pociąg i jedzie. Przyjechał. Nikt mu nie powie, co to morze, co to zatoka, gdzie wolno się kąpać, gdzie nie wolno. Co

to jest duża fala i czym grozi. A przecież wystarczyłoby, żeby Fundusz Wczasów przy skierowaniu dawał człowiekowi małą, ośmiostronicową broszurkę, informującą jak w tych górach czy nad morzem trzeba się zachowywać, jakie ubranie ze sobą wziąć, jak chodźć na wycieczki.

I w szkołach parę pogadanek na ten temat by się przydało, i w radio. I w prasie parę artykułów. I w „Świecie“ parę fotografii ostrzegawczych. I w domach wczasowych krótka pogadanka na temat niebezpieczeństw, którymi grożą nam piękne skądinąd góry i wspaniałe morze. No i nasze Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze powinno w tym zakresie rozpętać nieco propagandy, rzucić trochę plakatów, pomyśleć o innych formach uświadomienia ludzi.

Ruch turystyczny i wczasowy rozwija się i będzie się rozwijał. Chodzi o to, byśmy się uczyli wszyscy góry i morze opanowywać, a nie żeby one z nas smutny brały okup — za naszą lekko-myślność, za nasze lekceważenie rozsądku. Nie stać nas na stratę daremną i głupią ani jednego człowieka.

**A** PRZY okazji wielkiej akcji uświadamiającej o tym, jak się należy strzec niebezpieczeństw w górach, nad morzem, można zrobić coś niecoś dla poszanowania gór i nizin. Można pouczyć ludzi na temat zachowania ciszy, nieśmiecenia, niewypisywania swych znacznych imion i nazwisk na dzikich szczytach skalnych, słowem — właściwego zachowania się w zetknięciu z najpiękniejszą przyrodą naszego kraju.

Ale z tych dwóch spraw pierwszą wysunąłbym zdecydowanie na czoło. „Tatry w niebezpieczeństwie!“ — piszą miłośnicy naszych pięknych gór wysokich, nawołując do niegrania w górach na harmonii, do niewznoszenia dzikich okrzyków, do nieśpiewania ohydnych tang i foxtrotów. Mają po stokroć rację. Ale zawsze tam hałmiał śmiecie rozgani, echo akordeonu i najbrzydszej piosenki przemienia. Kiedy jednak człowiek zawisnie nad przepaścią — nie zawsze pomoc w porę zdąży przybyć.

Powiedziałbym inaczej: „Człowiek w niebezpieczeństwie!“. Wychowajmy mądrego, ostrożnego, odważnego turystę. Człowiek, który wie jak po górach się chodzi, który umie rozumieć ich piękno i unikać groźących mu niebezpieczeństw, zaczyna góry kochać. A z miłością idzie zawsze w parze szacunek.

To samo z Bałtykiem. I tu przyda się mniej lekkomyślności, mniej ignorancji, a więcej dobrego pływania, więcej znajomości praw morza. Sprawa nie jest taka nieaktualna. Za trzy miesiące wyruszą pierwsi narciarze, rozpoczyna się wczasy zimowe. Najwyższy czas pomyśleć o tych wszystkich sprawach. Nie rozkładajmy rąk bezradnie. Tak jak tego lata działać się nie musi.

JAN SZELAĞ



Już za chwilę będziemy na przystani nad Wisłą — tymczasem piosenka skraca jazdę warszawskim autobusem. Muzyka jest międzynarodowa — jeżeli się nie zna słów piosenki, to nuci się melodię! Zaczynamy!



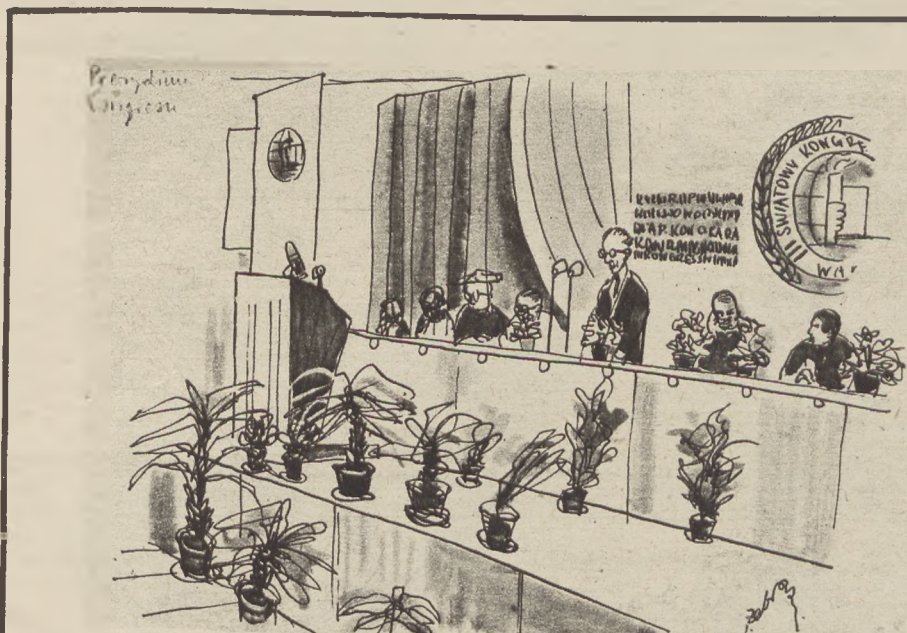
W biurze tłumaczy nie ma wytchnienia! 140 ludzi dwoi się i troi, nie rozróżnia dnia od nocy, aby udostępnić studentom...

## STUDENCI 99 KRAJ



Na statku płynącym po Wiśle wszystkie pary tańczą! Te, które nie tańczą — też mają sobie wiele do powiedzenia. Będiesz pisać? Nie zapomnisz warszawskiej znajomości? Ze zdjęcia widać, że ona nie zapomni!

Teatr na Wyspie w Łazienkach w Warszawie nie widział jeszcze pewnie dotąd tak międzynarodowej widowni. Sierpniowa noc, zapach kwiatów, dźwięki muzyki — czy może być lepszy wypoczynek po obradach?



Prezydium Kongresu

Stanisław Ostrowski

## RÓŻA POKOJU

(Na Kongres Studentów w Warszawie)

Motyle lamp rozsnuły już światel kokony  
A wieczór skrzydła złożył. I oto brzęcząca  
Muszla mojego miasta rozwarła się, skrzęca  
Klejnnotem staromiejskim — Rynkiem odrodzonym.

Znów przyjaciele zeszli się nad wielką rzeką,  
Która poznała rozpacz, cierpienie i klęskę.  
Czarny student z Colombo mówi o zwycięstwie  
Rozumu, serca, prawdy — że już niedaleko

Dzień, gdy róża pokoju rozkwitnie płomienna  
I wszechobecna w sercach... Bo cóż świat ocali  
Jeśli nie jego młodość — ci, co się zebrali  
Radzić nad złem, sunącym niby chmura ciemna?...

Niechaj schyli się niebo i gwiazdy dojrzałe  
A zielone ogrody napoją słodyczą.

Oto chodzą zdumieni, nowe domy liczą  
I ściskają nam dłonie od pracy zgrubiałe.

30 sierpnia 1953

tom z 99 krajów ich wzajem-  
ne poglądy. Kierownik biura  
jest „weteranem” czternastu  
międzynarodowych kongresów

## JÓW W STOLICY



Jak dotąd, młodzież świata spotykała się ze sobą najczęściej na polach bitew. III Światowy Kongres Studentów w Warszawie obradował właśnie po to, aby przełamać tę złowrogą tradycję. Ci mali obywatele „studiują” co prawda dopiero w szkole podstawowej — ale zainteresowanie znaczkami kongresowymi ściągnęło ich między zagranicznych delegatów



Ona jest z Francji, on i piosenka — z Polski. Akompaniuje gitara, nadwiślański wiatr i turbiny statku. Dziś jest niedzielne popołudnie — jutro będziemy dalej obradować!



Ponad 2.000 listów i kart dziennie, sporo depesz i telefonów idzie na cały świat z kularów Kongresu Studentów, „Pozdrowienia z dalekiej Warszawy” w wielu językach...



Łowcy autografów.



Delegaci Chin: Tse Cu-din, Li Su-ten i So Cu-len.



Delegatka Francji: Annette Hog.

# BY MYŚL TA ZWYCIĘ



Studenci Kraju Rad mają rozliczne kontakty sponad 200 organizacjami studenckimi z 80 krajów. Delegat radziecki podkreślił, że „zimna wojna” jest główną przeszkodą w zacieśnianiu współpracy studentów świata.

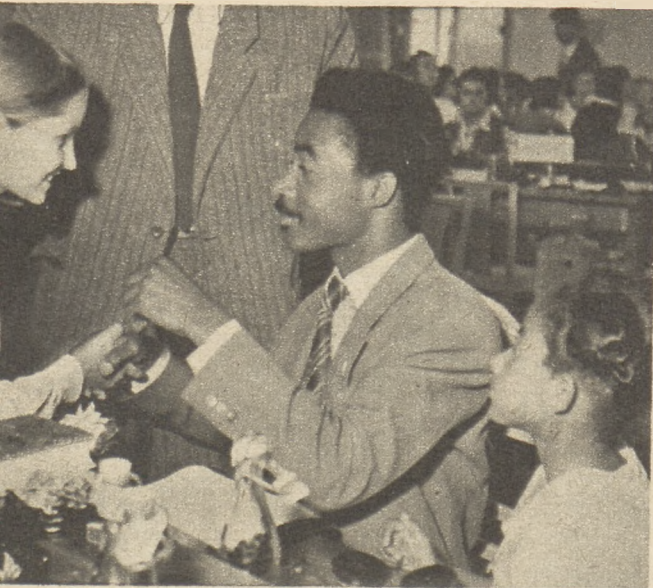


Isabelle Blume, wiceprzewodnicząca Światowej Rady Pokoju powiedziała zebrany: „Skądkolwiek przyszłicie, jakakolwiek jest filozofia, którą wyznajecie, istnieje więź łącząca Was wszystkich — chcecie żyć!”

**P**RZEZ okrągły tydzień, w ciągu wielogodzinnych obrad, z trybuny kongresowej padały słowa o potrzebie przyjaźni i współpracy, o potrzebie zjednoczenia wszystkich wysiłków dla lepszej obrony interesów młodzieży studiującej całego świata, o potrzebie zjednoczenia wszystkich dążeń, których celem jest obrona pokoju. Okazało się na tle tych obrad, że wszelkie sprawy studenckie wiążą się z zagadnieniami o charakterze znacznie szerszym, że atmosfera napięcia międzynarodowego, atmosfera „zimnej wojny” wpływa zarówno na warunki bytu młodzieży studiującej, jak na stan nauki, jak wreszcie na wewnętrzną strukturę światowego ruchu studenckiego.

Kongres warszawski obradował na platformie znacznie szerszej, niż platforma jakiegokolwiek odbytej dotąd narady studentów — i ponadto obradował w chwili, w której stało się rzeczą jasną, że rozładowanie napięcia międzynarodowego jest możliwe, że jest ono w wielkiej mierze funkcją woli narodów. W Kongresie uczestniczyły zarówno organizacje, wchodzące w skład Międzynarodowego Zrzeszenia Studentów, jak również

Niech te kwiaty przypomną Ci po latach pogodne dni wśród życzliwych ludzi — w stolicy kraju, gdzie młodzież uczona jest szacunku dla człowieka każdej rasy.



Ci studenci zabiorą ze sobą do Niemiec zachodnich pamiątki z braterskiego spotkania w Warszawie.

Oni będą decydować o przyszłości Azji, na której odległych krańcach zamieszkują. Spotkali się w Warszawie wraz ze studentami z 99 krajów całego świata.



Natomiast Szkotów, ubranych w narodowe stroje, interesowały bardziej książki i wydawnictwa albumowe.



Sprawozdanie Komitetu Wykonawczego Międzynarodowego Zrzeszenia Studentów stwierdza między in.: „Przybyliśmy tutaj z setek uniwersytetów i uczelni na całym świecie,



# ŻYŁA...

liczne organizacje stojące dotąd poza zrzeszeniem. Przebieg Kongresu dowodzi, że zjednoczenie ruchu studenckiego, że jedność studiującej młodzieży najróżniejszych krajów świata — może stać się potężnym argumentem w owej szerokiej akcji o porozumienie między narodami i rządami, o zaprzestanie „zimnej wojny“ i ustanowienie podstaw trwałego pokoju.

Kongres stworzył istotnie szeroką platformę dla wymiany różnorodnych poglądów, dla konfrontacji różnych punktów widzenia i różnych zapatrywań na środki i metody gwarantujące najpełniej osiągnięcie jedności w ruchu studenckim. Zarówno owa wymiana poglądów, jak zmiany w statucie Międzynarodowego Zrzeszenia Studentów, rozszerzające wydatnie jego platformę — posunęły naprzód sprawę zjednoczenia młodzieży studiującej różnych krajów.

W przemówieniach delegatów i w postanowieniach Kongresu wyraźnie ujawnił się fakt, że położenie studentów polepsza się stale w krajach o gospodarce pokojowej, a nieuchronnie się pogarsza w krajach, których rządy przygotowują wojnę. Z całą jasnością ujaw-



Dwaj studenci włoscy (pośrodku) zawarli szybko przyjaźni z kolegami delegowanymi przez młodzież wietnamską, która z bronią w ręku stawia czoło kolonizatorom francuskim, brutalnie ujarzmiającym ich ojczyznę.

niła się prawda, że pokój sprzyja wolności myśli, a wojna ją niszczy.

Trzeci Światowy Kongres Studentów w Warszawie wyraził głębokie pragnienie pokoju i wolności, pragnienie, nurtujące wszystkich studentów świata. Przyjęcie zgotowane przez zagranicznych gości delegacji młodzieży warszawskiej, przybyłej na salę z życzeniami dla Kongresu — stało się wielką manifestacją przyjaźni. Oklaski i uściski zdawały się mówić o tym, że młodzież wszystkich ras i narodów walczyć będzie o to, by narody te łączyła i zbliżała szczerą, głęboką przyjaźń.

„Niech hasło — że nie istnieje taki problem międzynarodowy, którego nie można by rozwiązać w drodze pokojowych rokowań — obiegnie cały świat — mówiła przedstawicielka Światowej Rady Pokoju — Izabelle Blume. — Niech będzie ono powtarzane od uniwersytetu do uniwersytetu, od szkoły do szkoły“.

Przez usta delegatów o różnych kolorach skóry, przez usta ludzi o różnych losach i poglądach — studenci zebrani w Warszawie składali przyrzeczenie, iż uczynią wszystko, by myśl ta szybciej biegła przez świat i szybciej zwyciężyła.

z krajów o różnych ustrojach politycznych i społecznych, o różnych stylach życia. Studiujemy tyle różnorodnych przedmiotów, przygotowujemy się do tylu różnych zawodów. Uznaliśmy nie tylko za możliwe, ale i konieczne to spotkanie pod jednym dachem, gdzie moglibyśmy ustalić program współpracy w imię naszych wspólnych interesów...”



Z Kongresem młodzież krajów kolonialnych łączy swe nadzieje na wywalczenie prawa do nauki, na poprawę bytu i na zwalczanie prześladowań rasowych.

# PRZED DOŻYNKAMI SĄ ŻNIWA

**K**AŻDY, najmniejszy nawet dworek szlachecki posiadał ganeczek, wsparty na bielonych kolumnach z drzewa lub cegły. Przed tym ganeczkiem stawiała co roku przodownica z dożynkowym wieńcem, a towarzysząca jej gromada żeńców śpiewała:

Otwieraj, panie, nowe wierzeje,  
bo się na polu kłós już nie chwieje!  
Otwieraj, panie, szerokie wrota,  
niesiem wianuszek z samego złota.  
Plon niesiemy, plon,  
w jegomości dom.

Była to czasem malownicza, ale jednocześnie jakże przykra scena, pełna nieszczeroci i tajonego buntu. Kośba trwała najczęściej do zmierzchu i dopiero wieczornym chłodem szli bandosi przed dom dziedzica, aby z okazji zakończonego żniwa w świetle pochodni przymówić się o poczęstunek i nagrodę.

Rodzina dziedzica nie od razu wychodziła do żeńców. Cóż by to sobie pomyśleli, że ich kto czekał z niecierpliwością? Płynęły więc zwrotki za zwrotkami, a każda z nich zawierała komplement schlebający pańskiej próżności.

A na dziedzińcu rośnie murawa,  
a nasza pani chodzi jak pawa.  
A na dziedzińcu czerwone goździki,  
naszej pani dzieci kieby słowiki...  
Plon niesiemy, plon.

Dlaczego żeńcy, bandosi z nizin i z całego niemal Podkarpacia, zniżali się aż do pochlebstw? Zmuszała ich do tego bieda, „a pszeniczki naszej żalost, bo i tak jej wielga małość” — śpiewali, wyliczając natychmiast bogactwa dworskie: „Świecą na niebie gwiazdy mieniące, a nasze państwo liczy tysiące”. To też, gdy oficjalna część dożynek dobiegała końca i po poczęstunku szli bandosi na nocleg do wsi, inne nuczili już pieśni.

Panowie, panowie,  
macie moc nad nami,  
zebym ja miał nad was,  
orabym ja wami.  
Panem bym ci orał,  
okunomem włóczył,  
a pisarzem radlił,  
robić bym was uczył.

„Kiedyż — pytał Żeromski — ustanie skarga żeńców, lecąca po rannych rosach z pokoleń na pokolenia? Kiedyż się żeńcy polscy z miłością nachylią ku zbożu dostalemu i kiedyż szerokim zamachem potęgi zagarną pokos trawy szumiącej nie mój, ani twój, tylko nasz, ojczysty?”

Dopiero w dwadzieścia kilka lat po tym, jak Żeromski postawił to pytanie, przyszła na nie odpowiedź. Rząd ludowy odebrał ziemię obszarnikom i rozdał ją chłopom. Bandosi znikli. Ten z gór buduje Nową Hutę. Ten z równin pracuje w przemyśle Łodzi, Częstochowy, Piotrkowa, w coraz potężniejszych ośrodkach przemysłowych Lubelskiego i Białostockiego.

Trudno już dzisiaj oddzielić żniwa od omlotów. Coraz częściej, a wkrótce, gdy jeszcze bardziej zwiększy się stan maszyn rolniczych, stanie się to regułą, że

Na wystawie rolniczej w Łowiczu — tryk długowetnisty z PGR Długie budził zainteresowanie zwiedzających.



W całym kraju odbywały się dożynki powiatowe, połączone najczęściej z wystawami rolniczymi. Dożynki w Łowiczu poprzedził gwiazdzisty raid kolarski chłopów.

zboże zmłócone będzie w polu przez kombajny lub młockarnie — natychmiast, w czasie żniw. Jest nawet jakaś szczęśliwa niecierpliwość w meldunkach, które przynosi prasa: 18 kwintali z hektara, 20—25, aż czytamy, że brygada polowa Józefa Janeczka z PGR w Rszewie osiągnęła tego roku 50 kwintali pszenicy z jednego hektara. Rekord!

Rekord, który cieszy cały kraj, bo jest wynikiem systematycznych, wieloletnich zabiegów, ukazujących drogę zwiększenia plonów wszystkim rolnikom.

Osiągnięcia rolnicze chłopów nadają dzisiaj nową treść dożynek. Bo zwyczaj ten przetrwał wszystkie przemiany, nabrał tylko innego znaczenia. Zgi-

nęła zeń pieśń przypochlebna, niemal zebrać. Wynagrodzenie w pieniądzu i ordynarii było niskie, poczęstunek więc i drobne datki odgrywały pewną rolę w życiu i budzicie bandosa. „Nasz wianuszek nie po takim — śpiewali pragnąc otrzymać, jak najwięcej — każdy kłosek po złotemu”.

Dzisiaj słyszymy inną już pieśń.

Otwierajcie, otwierajcie wrota,  
padła już w polu pszenica złota,  
kłós ma ogromny, gruboziarnisty,  
smaczny więc będzie nasz chleb  
ojczysty.

Plon niesiemy, plon,  
w nasz spółdzielczy dom.

W województwie łódzkim, bardziej niż inne posunięty przeciw w rozwoju, nie tak dawno jeszcze na 20 gromad przypadała jedna zaledwie szkoła. Dziś co czwarta już wieś posiada tam pełną siedmioklasową szkołę podstawową. Światło elektryczne otrzymały 2694 zagrody chłopskie, 134 wsie posiadają ośrodki zdrowia, izby porodowe i ambulatoria.

Na to idzie plon całorocznej pracy, zbierany w żniwa. Nikt już nie tuczy się na parobczańskim, bandoskim pocie. Dworki, nieme świadectwa niedawnej, a jakże pamiętnej przeszłości, nadal stoją wśród zieleni. Często ten sam chłop, który dawniej musiał przed panem czapkować, staje i teraz opodal ganeczku, ale śpiewa inaczej:

Oj, dana, moja dana,  
da, wzięli diabli pana.  
Oj, wzięli go do piekła,  
i tak dusza uciekła.

Trzeba było być na dożynekach gminnych i powiatowych, aby widzieć, jak chłop z człowieka zależnego od dworu staje się troskliwym o naszą gospodarkę obywatelem.

Najlepsi zaś rolnicy i najbardziej aktywni działacze wiejscy znajdują się i tego roku, jak każdego roku poprzedniego, na dożynekach ogólnokrajowych, tym razem w Szczecinie. Poprzedzi je wielka narada chłopów, w dwóch trzecich reprezentowanych przez gospodarzy indywidualnych, wydelegowanych przez przodujące w rolnictwie wsie. W ten sposób tegoroczne dożynki ogólnokrajowe staną się sejmikiem chłopskim. Ulicami wielkiego portu popłyną wielobarwne, rozśpiewane i roztańczone tłumy.

Czy nie o tym myślał Żeromski, kiedy w tylekroć już przytaczanym „Słowie o bandosie”, pisał: „Promień słoneczny po nocy, zza krawędzi mroku znowu wytryśnie”.

TADEUSZ SARNECKI

Zdjęcia: T. Sarnecki i CAŁ

Żniwa i omloty idą coraz sprawniej. Ułatwia je liczny już park maszynowy. Motor elektryczny i dmuchawa znacznie przyspieszyły omloty w Jurowcach.





Prof. Filatow opiekuje się pacjentami również po ich powrocie do zdrowia. Widzimy go przy pacjencie, któremu przez operację rogówki przywrócił wzrok.

# TRZY SUKCESY

W. P. FILATOW

Rzeczywisty członek Akademii Nauk USRR i Akademii Nauk Medycznych ZSRR



Autor artykułu.

**UKRAIŃSKI** Instytut Naukowo-Badawczy Chorób Oczu, którym kieruję, prowadzi szeroką działalność w dziedzinie opracowania metod leczenia wielu poważnych chorób oczu i rekonstrukcyjnych operacji chirurgicznych.

## I.

Jednym z naszych osiągnięć, jeżeli idzie o plastykę chirurgiczną, jest wprowadzona przeze mnie metoda tak zwanej „okrągłej szypuły“, szeroko stosowana szczególnie przy urazach powstałych w czasie wojny. Pozwala ona na rekonstrukcję postradanych względnie uszkodzonych części ciała (nosa, warg, powiek, policzków, palców). Przy pomocy „szypuły“ można również leczyć trudno gojące się rany.

Na czym polega metoda „okrągłej szypuły“?

Otóż na dwa tygodnie przed przewidzianą operacją plastyczną, mającą na celu usunięcie danego uszkodzenia, wykrawa się ze skóry pacjenta szeroką taśmę, nie przecinając końców łączących ją z ciałem. Brzegi tej taśmy zeszywa się ze sobą, dzięki czemu przekształca się ona w cylindryczny rdzeń — „szypułę“. Ranę powstałą na skutek ubytku skóry pod „szypułą“ zeszywa się. W okresie 2—3 tygodni w szypule rozwija się obficie sieć naczyń krwionośnych.

Po tym okresie przystępuje się do operacji plastycznej. Odcina się jeden z końców szypuły z kawałkiem skóry, który, niczym liść na łydydze, zostaje przeniesiony na miejsce podlegające zoperowaniu. Skórę tę przyszywa się do brzegów operowanego defektu. Po upływie 10 dni, w czasie których naczynia krwionośne szypuły karmią skórę przeniesioną na uszkodzone miejsce, odcina się ją i przeszczepiony skrawek otrzymuje już dopływ krwi od tkanek leżących pod nim.

Metoda, o której mowa, ma tę wyjątkowość nad dawnymi metodami operacyjnymi, że dzięki „szypule“ odżywia ona wspaniale przeszczepiony skrawek skóry i chroni go przed infekcją. „Okrągła szypuła“ może zostać przygotowana daleko od miejsca przyszłej operacji. Wtedy podchodzi ona robiąc raz na dwa tygodnie „krok“ w kierunku uszkodzenia to jednym, to drugim końcem, które wszywa się po drodze w nacięcia

skóry. Jest to tak zwana „szypuła krocząca“.

Radzieccy chirurdzy rozwijają, pogłębiają i udoskonalają metodę „okrągłej szypuły“, której poświęcono już przeszło 200 prac, w tej liczbie kilka monografii.

## II.

Drugim z kolei naszym naukowym osiągnięciem jest opracowanie metody przeszczepiania rogówki przy ślepotcie i kalectwie wzrokowym, spowodowanym stałym zmętnieniem rogówki — bielmem.

Operacja polega na tym, że w bielmie wycina się otwór, w który wstawia się odpowiedniej wielkości i kształtu kawałek rogówki pobranej z oka ludzkiego. W metodykę i technikę przeszczepiania rogówki udało się nam wnieść istotne udoskonalenie. Dzięki wynalezieniu specjalnych instrumentów zapobiegaliśmy niebezpieczeństwom, grożącym w trakcie operacji w postaci na przykład zranienia soczewki oka.

Kiedy przystąpiłem do przeszczepiania rogówki, przekonałem się wkrótce, że liczba pacjentów, którym potrzebna była ta operacja, znacznie przewyższa ilość wypadków usunięcia oczu u pacjentów z powodu ciężkich schorzeń i urazów. Wyłoniła się więc trudność zdobycia przezroczystej rogówki dla przeprowadzenia operacji u chorych, którym można było w ten sposób przywrócić wzrok.

Na stosunkowo wielkim materiale doświadczalnym udowodniłem jednak, że rogówka oczu człowieka zmarłego, przechowywana przez 1—3 dni w temperaturze 3 stopni powyżej zera, przyjmuje się w bielmie chorego niegorzej, a nawet lepiej, niż rogówka oczu żywych.

W ten sposób uzyskaliśmy obfite źródło materiału dla leczenia drogą przeszczepiania rogówki. Ja, moi uczniowie oraz naśladowcy — zdołaliśmy przeprowadzić około 7 tysięcy tego typu operacji. Liczba ta znacznie przewyższa ilość podobnych operacji przeprowadzonych za granicą w okresie ostatnich 130 lat.

Nie we wszystkich, rzecz jasna, wypadkach ta operacja daje pomyślne rezultaty. Na ogół jednak przy niezbyt skomplikowanych bielmach przeszczepienie rogówki udaje się w 65 procentach, a w wypadkach w pełni sprzyjających operacji — w 90 procentach.

## III.

Trzecim osiągnięciem jest terapia tkankowa. Ustaliliśmy, że tkanki oddzielone od organizmu ludzkiego względnie zwierzęcego, a także liście roślin, kiedy przechowuje się je w niesprzyjających dla ich istnienia warunkach, ale nie zabijających ich — podlegają biochemicznej przebudowie, której towarzyszy nagromadzenie specjalnych substancji, zdolnych do podtrzymywania procesów życiowych w tkankach. Substancje te nazwałem bodźcami pochodzenia biologicznego — „biogenicznymi stymulatorami“.

Tkanki ludzkie i zwierzęce wytwarzają biogeniczne stymulatory w wypadku, kiedy przechowuje się je w temperaturze 2—4 stopni powyżej zera. Jeżeli idzie o zielone liście, to warunkiem wytworzenia stymulatorów biogenicznych jest przechowywanie ich w ciemności.

Otrzymane w ten sposób biogeniczne stymulatory można stosować rozmaicie. Zakonserwowaną tkankę wprowadza się na przykład pod skórę lub błonę śluzową chorego. Stymulatory wyssane z tkanki przez organizm pobudzają przemianę materii i funkcje fizjologiczne, przyspieszają procesy regeneracji, przyczyniając się tym samym do wyzdrowienia pacjenta. Można też sporządzić z zakonserwowanej we wspomnianych warunkach tkanki wodny wyciąg i wstrzykiwać go pod skórę. Przy wprowadzeniu jednak do organizmu substancji tkanowych należy je uprzednio poddać sterylizacji przy pomocy wysokiej temperatury (1 godzina w temperaturze 120 stopni powyżej zera).

W trakcie poszukiwania biogenicznych stymulatorów w roślinach zbadałem liście aloesu. Przy przechowywaniu ich w ciemności przez około 12 dni ich właściwości lecznicze silnie wzrastają. Poza aloesem przyswajają sobie lecznicze właściwości przy przechowywaniu we wspomnianych warunkach również liście jęczmienia, lucerny, agawy, grochu i innych roślin.

Leczenie preparatami z konserwowanych roślin daje wspaniałe rezultaty przy wielu chorobach oczu.

Na przykład przy tak ciężkim schorzeniu, jak atrofia nerwu wzrokowego, posiadliśmy dzięki terapii tkankowej niezawodną metodę leczenia. Terapia ta otwiera również szerokie możliwości w wypadku innych chorób. Można le-

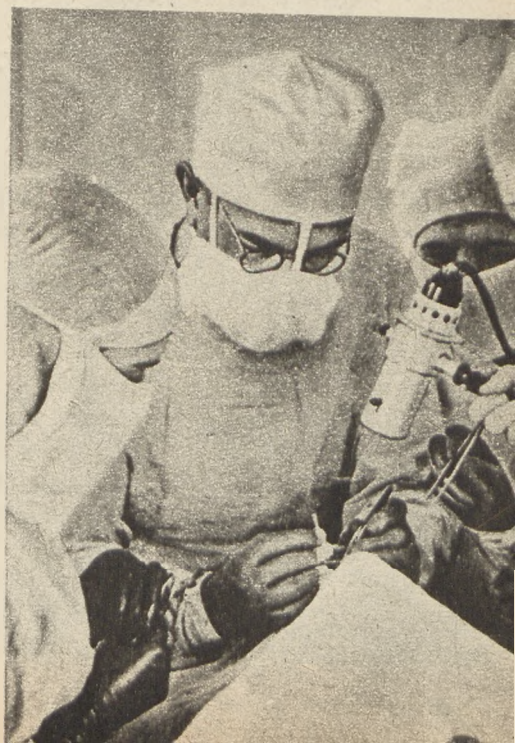
czyć nią między innymi owrzodzenia skóry o podłożu gruzliczym, wrzody o podłożu urazowym, zapalnym, wrzody żołądka, niektóre wypadki trądu, pewne choroby kobiece, epilepsję, schizofrenię i wiele, wiele innych.

Tak szeroki zasięg skutecznego działania terapii tkankowej tłumaczy się tym, że biogeniczne stymulatory mają zbawienny wpływ na centralny system nerwowy i pobudzają procesy życiowe w całym organizmie ludzkim.

W chwili obecnej terapia tkankowa zajęła należne jej miejsce wśród innych cennych metod radzieckiej medycyny. Znalazła ona zastosowanie również w weterynarii; stwierdzono nawet, że biogeniczne stymulatory wpływać mogą na rozwój roślin.

Nasze sukcesy, podobnie jak sukcesy całej medycyny radzieckiej, mnożą się i rosną z dnia na dzień dzięki wszechstronnemu poparciu i pomocy, jaką okazuje uczonym radzieckim partia komunistyczna i rząd radziecki. To poparcie, pomoc i troska zobowiązują nas do zdwojenia energii i wysiłków w walce o rozwój naszej radzieckiej medycyny, która służy narodowi.

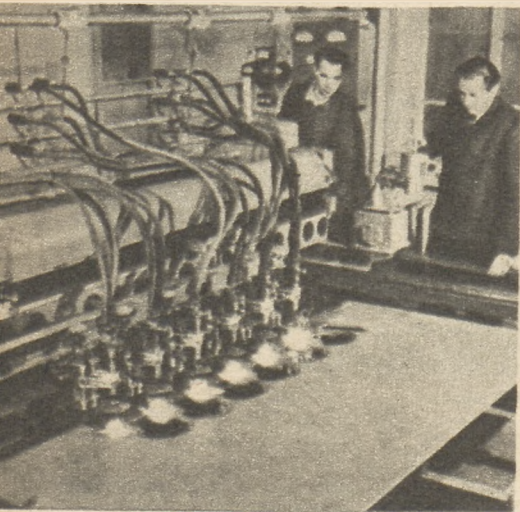
Uczeń prof. Filatowa, dr Piotr Kuryszkina, podczas operacji rogówki oka.





Tysiące par oczu wpatrują się w niebo: pięć odrzutowców, niby związanych niewidzialną nitką, zgodnie i sprawnie wykonuje skomplikowane ćwiczenia akrobatyczne... Efektowne popisy w dniu święta lotnictwa ZSRR były rezultatem starannego przygotowania uczestników imprezy. Oto M. Szalchenko omawia z załogą „piątki” jedno z wstępnych ćwiczeń. (fot. T. Michnik)

## AKTUALNOŚCI RADZIECKIE



Unikatem w technice światowej jest opracowana przez zespół moskiewskiego inżyniera I. Kurlowicza maszyna do tlenowego cięcia metalu. Wycina ona równocześnie sześć elementów żądanego profilu z arkusza stalowego grubości do 20 cm przy szybkości cięcia do 200 cm na minutę. (fot. I. Riumkin).



Witek Iwaszczenko (klasa VI) gwizdnie: Odjazd! Pociąg rusza... W Akmollińsku (Kazachstan Północny) otwarta została nowa dziecięca linia kolejowa „Mała Karagandyńska” długości 1,5 kilometra. Trasa linii biegnie wzdłuż malowniczego brzegu rzeki Irtis przez Park Kolejowy. (fot. I. Riumkin).

Na zdjęciu Piotr Czajkowski — ale nie ten, który skomponował opery i symfonie... Piotr Czajkowski z kopalni rudy „Bolszewik” w Zagłębiu Krzyworskim, opracował metodę pracy przy pomocy dwóch młotów wiertniczych równocześnie. Racjonalizator ma zaledwie 19 lat, i być może zdobędzie w przyszłości taką sławę, jak jego muzyczny imiennik... (fot. I. Riumkin).



## ŚWIAT KSIĄŻEK

### OPOWIADANIA O SPRAWACH OSOBISTYCH

Macieja Słomczyńskiego pamiętamy jako autora kilku powieści o wątku niemal sensacyjno-kryminalnym; uprawiał więc gatunek beletrystyki, który trudno poprowadzić po szlusznej drodze, nie zbaczając w awanturniczość i tandetę artystyczną. „Opowiadania o sprawach osobistych” są więc niejako debiutem pisarza, który pragnie obecnie piórem swym służyć budowie socjalizmu. Nie znaczy to jednak, że książkę Słomczyńskiego witamy tylko jako świadectwo ważnego przełomu w twórczości autora, że jej wartość tkwi tylko w sferze nowych dla Słomczyńskiego zamierzeń ideowo-artystycznych. „Opowiadania o sprawach osobistych” oceniamy należy również jako konkretne dokonanie, jako cenną i w pewnym sensie nowatorską pozycję naszej prozy.

Tytuł mówi tylko o sprawach osobistych, ale poważną zdobyczą Słomczyńskiego jest umiejętność rozwiązywania problemów i konfliktów politycznych, światopoglądowych, na płaszczyźnie ludzkiej świadomości, w procesie psychicznych przeobrażeń człowieka. Spójrzmy, jak w świadomości Tomasza Zięby, bohatera „Opowiadań o nieposłusznym synu”, ścierają się — dosłownie — dwie epoki. Ma on — jako przodownik pracy w Nowej Hucie — wyjechać na teren z brząkami agitacyjną. Odprawia jednak wyjazd, ponieważ ojciec, który zginął w 1945 roku jako uczestnik bandy dywersyjnej, powiedział przed śmiercią: „W razie czego pamiętaj, żebyś nie darował tym, co mnie zabiło”. Tomasz, będąc „posłusznym” nie rozumie, że to nie władza ludowa zgubiła jego ojca, lecz wróg klasowy. I oto w czasie przypadkowej bójki z kolegą, z krzaków padają kulaćki kamienie. Jeden z nich rani Sokołczyka. Tomasz zaczyna teraz rozumieć sens walki klasowej, zaczyna wiązać wypadki roku 1945 z dzisiejszymi. Pojedzie na agitację. Ten właśnie konflikt osobisty Tomasza Zięby ma głęboką wymowę polityczną.

Spójrzmy znów, jak w „Opowiadaniu o czarnych nosorożcach”, w pozornie jednostkowym dramacie Eryka Heidla i Maćka Warały, odbijają się wiernie sprzeczności, które faszyzm narzucił narodowi, jak rysuje się braterstwo narodów w naszych czasach. Stary robotnik Eryk Heidel ze swym młodym pomoc-

nikiem Fritzem Sauerem przyjeżdżają do Nowej Huty wraz z transportem skonsternowanych przez siebie kopaczek w zakładach metalurgicznych „Karl Marx Maschinenwerke” w Bildesheim. Eryk Heidel przeżywa wielki wstrząs: jedzie do tego samego kraju, gdzie przebywał w czasie okupacji hitlerowskiej jako majster w fabryce gwoździ. Wtedy to — po śmierci żony i córki, zabitych podczas amerykańskiego nalotu w Bildesheim — zaczął nienawidzić ludzi. Pobił i skopał polskiego robotnika. Teraz rozumie, co zrobił, i boi się, chciałby w jakiś sposób zmyć swoją winę. W czasie pobytu w Nowej Hucie Niemcami opiekuje się Piłarski, działacz partyjny i dyrektor bazy motorowej, oraz Maciek Warała — młody kierowca, ZMP-owiec. Piłarski urodził się w Niemczech jako nieślubny syn polskiej chłopki. Warała wywieziony był w latach okupacji do Rzeszy na germanizację. W Nowej Hucie Fritz Sauer wyjaśnia Maćkowi Warale istotę sączonego przez burżuazję nacjonalizmu, który dzieli narody, a Piłarski podobną rolę wychowawczą spełnia w stosunku do Heidla.

Spójrzmy jeszcze, jak w osobistych, życiowych postanowieniach Wojtka, pracującego „na służbie” u proboszcza, księdza Paszyny, („Opowiadanie o srebrnym tośosiu”), wyraża się problem walki o człowieka. Chłopiec jest zdolny, mądry, ma zainteresowania techniczne. Nie może jednak kształcić się, bo ksiądz odsuwa go od wszelkich „nowinek” i każe mu naprawiać kościelne figurki. Wojtek jest zahukany i nie zastanawia się nad swoim życiem. Tymczasem w dawnym pałacu hrabiów Komorowskich w Bogusławicach powstaje Państwowy Ośrodek Maszynowy. Jeden z pracowników POM-u, Grzegorz Półtorak, w czasie polowu ryb spotyka Wojtka. Razem polują na ogromnego łososa i dzięki zręczności i odwadze Wojtka udaje im się złowić wspaniałą rybę. Kontakt z Półtorakiem, rozmowa z nim, każą Wojtkowi zastanowić się nad przyszłością, nasuną mu (na razie bardzo jeszcze niejasną) myśl o oderwaniu się od księdza. „Pierwszy raz w życiu musiał pomyśleć o swoich sprawach osobistych”.

„Opowiadania o sprawach osobistych” — to ciekawa i pożyteczna książka, wyraźna zapowiedź dalszego rozwoju ambitnego pisarza.

LESZEK HERDEGEN

\*) Maciej Słomczyński: „Opowiadania o sprawach osobistych”, „Iskry”, 1953 r.

### SUBSKRYPCJA

#### „Dzieł wszystkich” Juliusza Słowackiego

Dom Książki ogłasza subskrypcję na „Dzieła wszystkie” Juliusza Słowackiego — pod redakcją Juliusza Kleimera (Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu).

Wydawnictwo nawołuje do nieukończonego wydania przedwojennego. Tomy, które ukazały się wówczas, zostały przejrane i uzupełnione, oraz opracowane tomy nowe. W ten sposób powstaje kompletne, 14-tomowe, krytyczne wydanie wszystkich dzieł Słowackiego, z ostatecznie ustalonymi odmianami tekstów i szczegółową bibliografią dotychczasowych wydań zbiorowych, wydań poszczególnych utworów, ich przekładów i opracowań.

Poszczególne tomy ukazywać się będą kolejno w ciągu trzech lat. W roku bieżącym planowane jest ukazanie się tomów od I do V i IX, w roku 1954 od VI do XI, w roku 1955 — XII, XIII, XIV i XV. Do tej pory ukazały się trzy pierwsze tomy w cenie: I — 30 zł, II — 17 zł, III — 17 zł.

Przybliżona cena całości wynosi 400 zł.

Są to ceny w subskrypcji, które po jej zakończeniu będą podwyższone.

W okresie subskrypcji „Dzieła wszystkie” nie będą sprzedawane poszczególnymi tomami.

Wydawnictwo cechuje staranne opracowanie graficzne, druk na papierze specjalnym bezdrzewnym, oprawa trwała, płócienna.

Subskrypcję „Dzieł wszystkich” J. Słowackiego prowadzi CENTRALNA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA „DOMU KSIĄŻKI”, WARSZAWA, PLAC DĄBROWSKIEGO 8. NUMER KONTA PKO: 1-4145/110.

Wszystką korespondencję związaną z subskrypcją należy kierować pod jej adresem, wpłaty dokonywać na jej konto.

Subskrypcja trwa od dnia 1 września do dnia 30 listopada 1953 roku.



Ani groźbami, ani ciągłymi rozprawami w obozach jenieckich, nie udało się Amerykanom złamać ducha oporu bohaterów obronców Korei. Powracający z niewoli jeńcy koreańscy i chińscy dają wyraz swej wielkiej nienawiści do sprawców zbrodni.



Kim Ching Yuana Amerykanie pozbyli wzroku podczas masakry w Masan.



Bez serdeczności przyjmowani są jeńcy amerykańscy przez swoich rodaków. Wprawdzie napis na tablicy głosi: „Witajcie na drodze do wolności”, ale powracający z niewoli wiedzą, że dla nich Panmundżon stanowi początek drogi do obozów, utworzonych przez amerykańskie gestapo dla „podejrzanych o wolę pokoju”.



Masakry urządzone przez Amerykanów w obozach dla wymuszenia na jeńcach odmowy powrotu do Korei — nie skłoniły ich do wyrzeczenia się ojczyzny. Straszliwie okaleczeni i chorzy jeńcy koreańscy i chińscy, powracający z obozów to jeszcze jeden dowód zbrodni, dokonanych przez soldateskę USA.



Z głębokim wstrętem zrzucają z siebie jeńcy koreańscy odzież daną im na drogę przez Amerykanów. Jutro staną do pracy nad odbudową bestialsko zniszczonego przez najeźdźców kraju.

# PULKAPKA (3)

STEFAN ARSKI

N

A KOMENDĘ Goebbelsa, cała prasa hitlerowska uderzyła w ton sedrecznej przyjaźni wobec nowego papieża. Ambasador Bergen donosił w depeszy z dnia 8 marca 1939 roku o reakcji Watykanu na te kadzidła:

„Postawa naszej prasy wobec nowego Papieża jest tu bacznie obserwowana, nie tylko zresztą w Watykanie, ale i w kołach włoskich, i jest witana z zadowoleniem”.

Bergen wyraża w związku z tym nadzieję, iż nastąpi „szybkie usunięcie wszelkich powodów zatargu między Rzeszą a Watykanem”.

Zatargi te, powstające od czasu do czasu na tle brutalnego traktowania przez władze hitlerowskie duchownych katolickich, nastrojonych opozycyjnie wobec faszyzmu, istotnie zostały zlikwidowane, aczkolwiek przesładowania katolików w Niemczech bynajmniej nie ustały. Papież stawiał znacznie wyżej owe „wzniosłe zasady”, które tak sprawnie realizowała Trzecia Rzesza.

Z zadowoleniem witał właśnie likwidację resztek państwa czeskosłowackiego i utworzenie marionetkowego państewka słowackiego pod hitlerowskim protektorem. Kukła hitlerowska, ks. Tiso, mianowany przez Berlin prezydentem Słowacji, otrzymał też natychmiast błogosławieństwo papieża oraz nominację na szambelana papieskiego z tytułem Monsignora. Premier słowacki Tuka tak oto scharakteryzował swój program polityczny.

„Ustrój słowacki będzie syntezą niemieckiego faszyzmu z rzymskim katolicyzmem”.

Gdy po pokonaniu Czech, Moraw i Słowacji Hitler zabierał się do rozprawy z Polską, Watykan natychmiast wszczął akcję, by spreparować następną ofiarę.

W maju roku 1939 Watykan zwrócił się do rządu brytyjskiego, za pośrednictwem arcybiskupa Godfrey'a, z propozycją zwołania „konferencji mocarstw” celem „przedyskutowania problemów, grożących wywołaniem konfliktu”.

Memorandum Godfrey'a, występującego w roli „Delegata Apostolskiego”, wyjaśniało, że chodzi o problemy sporne między Niemcami a Polską oraz Włochami a Francją. Jak widać, Pius XII pragnął również przysłużyć się Mussoliniemu, który hałaśliwie domagał się wtedy od Francji szeregu ustępstw terytorialnych.

Propozycje watykańskie spotkały się w Londynie z życzliwym przyjęciem. Chamberlain widział w nich okazję do nowych przechrerek z Hitlerem. Trudność była jednak z Francją. Daladier był wprawdzie skłonny sprzedać Polskę, nawet bardzo tanio, tak jak dopiero co sprzedał Czechosłowację — w reakcyjnej prasie francuskiej coraz silniej rozbrzmiewały już tony na nutę „Nie będziemy umierać za Gdańsk” — ale w żaden sposób nie chciał się zgodzić, by na tej samej płaszczyźnie traktować pretensje Mussoliniego wobec Francji co żądania Hitlera wobec Polski. Dyplomacja brytyjska żywiła jeszcze jedną drobną wątpliwość. Cała propozycja watykańska na sto mil załatwiała Monachium. Analogia była zbyt wyraźna, by nawet Chamberlain mógł zaryzykować jej przyjęcie. W opinii publicznej metody monachijskie były doszczętnie skompromitowane, a fala gniewu po ostatnim wiarołomstwie Hitlera bynajmniej jeszcze nie opadła.

5 maja 1939 roku brytyjski minister spraw zagranicznych, Halifax, zleca więc ambasadorowi brytyjskie-

mu w Watykanie, Osbornowi, poinformowanie papieża, że jakkolwiek rząd brytyjski ustosunkowuje się pozytywnie do propozycji Watykanu, to jednak

„zasadniczą cechą ujemną projektu jest możliwość reakcji krytycznej ze strony tych, którzy dopatrzili się w niej wstępu do czegoś, co przypominałoby Monachium...”

Zawiły język brytyjskiej dyplomacji w przekładzie na mowę ludzi prostych oznacza: nowe Monachium — chętnie, ale trzeba znaleźć strawniejszą formę. Wymiana not i poglądów między Watykanem a Londynem trwa przez wiele dni. Wreszcie, ze względu na stanowisko Paryża, Londyn proponuje inny wariant przetargu. Odkładając na bok sprawę zatargu francusko-włoskiego, Halifax sugeruje, by papież podjął się roli arbitra w sporze niemiecko-polskim o Gdańsk i korytarz. Wyniki takiego arbitrażu — jak się zaraz przekonamy — nie budziły najmniejszej wątpliwości. Chamberlain i Halifax zbyt dobrze znali stanowisko papieża, by sami mogli mieć co do tego jakiegokolwiek złudzenia. Z raportów własnego ambasadora, Hendersona, wiedzieli przecież, jak dobre stosunki łączą Watykan z Berlinem od czasu wstąpienia na tron papieski Piusa XII. Ze zacytujemy choćby fragment z depeszy Hendersona z dnia 8 maja 1939 roku:

„Nuncjusz przyjęty został w dniu 5 maja przez Hitlera w Berchtesgaden. Ze względu na złożone zobowiązanie zachowania ścisłej tajemnicy, nie mógł powiedzieć nic na temat przeprowadzonych rozmów. Oświadczył mi jednakże, że przyjęło go bardzo dobrze i ta pierwsza wizyta w Berchtesgaden wywarła na nim wielkie wrażenie — rząd niemiecki oddał mu do dyspozycji specjalny samolot. Nuncjusz dodał, że ma nadzieję, iż rząd brytyjski zauważył, że nowy papież od chwili wstąpienia na tron nie wypowiedział publicznie ani jednego słowa krytyki na temat polityki niemieckiej...”

Oczywiście, że rząd brytyjski to zauważył... I mimo to wysunął propozycję watykańskiego arbitrażu, która pozostawała w jaskrawej sprzeczności z dopiero co udzieloną Polsce gwarancją. Wiemy już wszakże, jaki był sens i kulisy tej gwarancji. Próby więc zaprzędania Polski przy pośrednictwie Watykanu nie powinny nas zbyt dziwić.

Watykańska wersja Monachium nie doczekała się realizacji. Niektóre powody niepowodzenia tej koncepcji wyłuszczyliśmy powyżej. Najważniejsze jednak było to, że tym razem nie zgadzał się na Monachium sam Hitler. Watykan dość szybko zorientował się w nastrojach Hitlera, by zmienić taktykę. Linia zasadnicza pozostaje ta sama — popieranie żądań Hitlera. Zastosowane będą tylko inne środki.

W drugiej połowie sierpnia Watykan zwraca się bezpośrednio do rządu polskiego. Oto co na ten temat pisze Beck:

„Za naleganiem Monsignora Orsoniego, nuncjusza w Berlinie, papież za pośrednictwem Monsignora Cortesi przekazał mi poufne posłannictwo, w którym sugerował, by Polska zapewniła przychylne traktowanie mniejszości niemieckiej w Polsce i uczynił w tym przedmiocie konkretne propozycje”.

Po tej pierwszej interwencji, wynikłej najwidoczniej z sugestii niemieckiej, przekazanej papieżowi za pośrednictwem nuncjusza w Berlinie, następuje druga,



Hitlerowskie czołgi mogły bezkarnie hulać po naszych miastach, wsiach i drogach; we wrześniu roku 1939 Polska była osamotniona i praktycznie bezbronna.

stanowiącą wyraźną presję na rząd polski, by skapitulował przed Hitlerem:

„W ostatnich dniach sierpnia — pisze w swych pamiętnikach Beck — papież zwrócił się do nas jeszcze raz, wyjaśniając nam, że odstąpienie Pomorza i Gdańska może ocalić pokój”.

Nawet Beck był zaskoczony tak brutalnie prohitlerowskim stanowiskiem Watykanu i przestrzegł nuncjusza przed opublikowaniem tej propozycji, gdyż „obraziloby to najżywsze uczucia większości katolickiej ludności naszego kraju. Pozostawiam więc Stolicy Apostolskiej decyzję opublikowania lub nie tego de-marche”.

Watykan wolał zamilczeć.

Tak oto dyplomacja mocarstw zachodnich po społu z Watykanem pracowała dla Hitlera. Usunąć mu wszelkie przeszkody spod nóg i pchnąć Niemcy na wschód — przeciwko Związkowi Radzieckiemu — oto był jedyny sens gry polityków Zachodu. A to znaczyło rzucić Polskę na pożarcie hitlerowcom.

W tej sytuacji rząd radziecki stanął w końcu sierpnia 1939 roku wobec alternatywy:

1) albo przyjąć w celu samoobrony zaproponowany przez Niemcy pakt o nieagresji i zyskać w ten sposób na czasie, by móc lepiej przygotować się do odparcia napaści w przyszłości,

2) albo odrzucić niemiecką propozycję zawarcia paktu o nieagresji i ułatwić w ten sposób organizatorom wyprawy antyradzieckiej realizację ich planów, które zmierzały do wtrącenia Związku Radzieckiego w natchmiastową wojnę z Niemcami hitlerowskimi w sytuacji wybitnie dla ZSRR niekorzystnej.

Rząd radziecki musiał dokonać wyboru i — rzecz prosta — wybrał pierwszą z dwóch możliwości, zawierając pakt o nieagresji z Niemcami. Była to decyzja niesłychanej doniosłości. Zdecydowała ona w przyszłości o zwycięstwie nad hitlerowskimi Niemcami. Rząd radziecki podjął tę decyzję w momencie, gdy nie pozostawało już cienia wątpliwości, że rokowania z mocarstwami zachodnimi nie doprowadzą z ich winy do żadnych rezultatów.

I drugą, nie mniej ważną decyzję podjął w tym czasie rząd radziecki. 17 września 1939 roku, gdy opór wojsk polskich załamał się już ostatecznie, a aparat państwa sanacyjnego rozsyłał się w gruzy — wojska radzieckie wkroczyły na ziemie ukraińskie i białoruskie, wchodzące w skład przedwojennego państwa polskiego. Niezwłocznie też zaczęły wznosić tam linie obronne dla odparcia przewidywanego w przyszłości ataku hitlerowskiego. Dzięki temu wojska radzieckie mogły stawić pierwszy opór najeźdźcy hitlerowskiemu nie na linii Narwa — Mińsk — Kijów, lecz na linii wysuniętej o paręset kilometrów bardziej na zachód. Był to drugi czynnik, który zdecydował o szybszym zwycięstwie nad Hitlerem.



Tak o świcie 1 września 1939 roku rozpoczął się tragiczny okres w dziejach naszego narodu, przygotowany wie-  
loletnią polityką sanacji i jej zagranicznych sojuszników: klęska wrześniowa i lata hitlerowskiej okupacji.

Dalekowzroczna polityka Związku Radzieckiego byłaby uratowała ludzkość od katastrofy wojennej, gdyby rządy ówczesnej Europy przyjęły w porę radzieckie propozycje zorganizowania systemu zbiorowego bezpieczeństwa. Gdy to się stało niemożliwe wskutek knańskich rządów europejskich — polityka radziecka przygotowywała podstawy przyszłego zwycięstwa nad Hitlerem. I to pozostanie jej zasługą i tytułem do wielkopomnej chwały.

Władców Europy zachodniej czekało tymczasem gorzkie rozczarowanie ze strony Hitlera. Miał on swoje własne plany panowania nad światem i bynajmniej nie zamierzał wybierać swoimi rękami kasztanów z ognia dla imperialistów anglo-francuskich i amerykańskich. Dnia 1 września wyruszył przez Polskę na podbój Europy i świata. Ostatnia instrukcja Hitlera do generałów brzmiała:

*„Zniszczenie Polski — oto cel najbliższy... Ze względu na porę roku, rozstrzygnięcie musi nastąpić szybko.*

*„Dam wam propagandowy pretekst do rozpoczęcia wojny. Nie troszczcie się o to, czy będzie on brzmiał wiarygodnie czy nie. Nikt nie będzie pytał zwycięzcy, czy mówił prawdę czy kłamał. W wojnie decyduje nie słuszność, lecz zwycięstwo. Nie miejcie litości. Bądźcie brutalni. Słuszność jest po stronie silniejszego. Działajcie z największym okrucieństwem. Całkowicie zniszczenie Polski jest naszym celem wojskowym. Szybkość — oto naczelne zadanie. Ścigajcie wroga aż do całkowitego unicestwienia“.*

Cała potęga hitlerowskiej maszyny wojennej, puszczona w ruch tymi słowami, runęła na Polskę.

Ale i wtedy jeszcze Chamberlain i Daladier — gwarancji i sojusznicy — nie wyrzekli się swej ulubionej myśli o nowym Monachium.

Raz jeszcze próbowali się wkupić w łaski Hitlera proponując mu przehandlowanie Polski. I oto wbrew wyraźnemu brzmieniu paktów francusko-polskiego i brytyjsko-polskiego — przez trzy doby trwały targi między Londynem, Paryżem a Berlinem na temat ceny, jaką Hitler gotów byłby zapłacić za pozostawienie Polski przez jej aliantów własnemu losowi. Mussolini pośredniczył w tych brudnych machinacjach. W nocy z 2 na 3 września premier polski, generał Sikorski, notuje melancholijnie w swym pamiętniku: *„Pomimo zawartych sojuszów, jak dotąd musimy walczyć sami...“* Bo też takie „sojusze“ właśnie zgotował Polsce rząd pana Sikorskiego rękami Becka, wykonując testament Piłsudskiego...

Żołnierz polski bił się w całkowitym osamotnieniu, choć Francja i Anglia obowiązane były przyjść Polsce z pomocą. Hitler nie chciał jednak gadać więcej z zakupcami z Londynu i Paryża. Po cóż miał im płacić za bezczynność, skoro i tak pozostawali bezczynnymi dopóty, dopóki to było Hitlerowi potrzebne. Przecież i po 3 września, kiedy już Anglia, a za nią Francja, wypowiedziały w końcu Niemcom wojnę — na zachodnim froncie panował martwy spokój, a Polska nadal samotnie krwawiła w nierównej walce.

Pańska misja wojskowa w Londynie nie mogła się nawet doprosić o jaką taką pomoc materiałową w samolotach, sprzęcie wojennym i amunicji. Daremnie dwaj wysłannicy sztabu polskiego, gen. Norwid-Neugebauer i mjr. Iliński, kołatają do drzwi najwyższych czynników wojskowych i politycznych w Londynie. Dopiero 10 września udało im się uzyskać zapewnienie, że droga na Konstancję (Rumunia) „wysłano 14 samolotów Hurricane, 30 samolotów Morane-Saulnier i przygotowano następny transport 5 tysięcy Hotchkissów i 15—20 milionów sztuk amunicji“.

Transporty te nigdy nie dotarły do Konstancy. Jest rzeczą wątpliwą, czy je kiedykolwiek w ogóle wysłano. Pewne jest natomiast, że z wyjątkiem 14 Hurricane'ów (których ilość świadczyła, że Angliki kpią sobie w żywe oczy ze swych polskich sojuszników) pozostały zestaw materiału zaofiarowanego Polsce był prawdopodobnie największym ładunkiem szmelcu, jaki kiedykolwiek wyciągnięto z arsenałów rupiecia wojskowego podczas wojny.

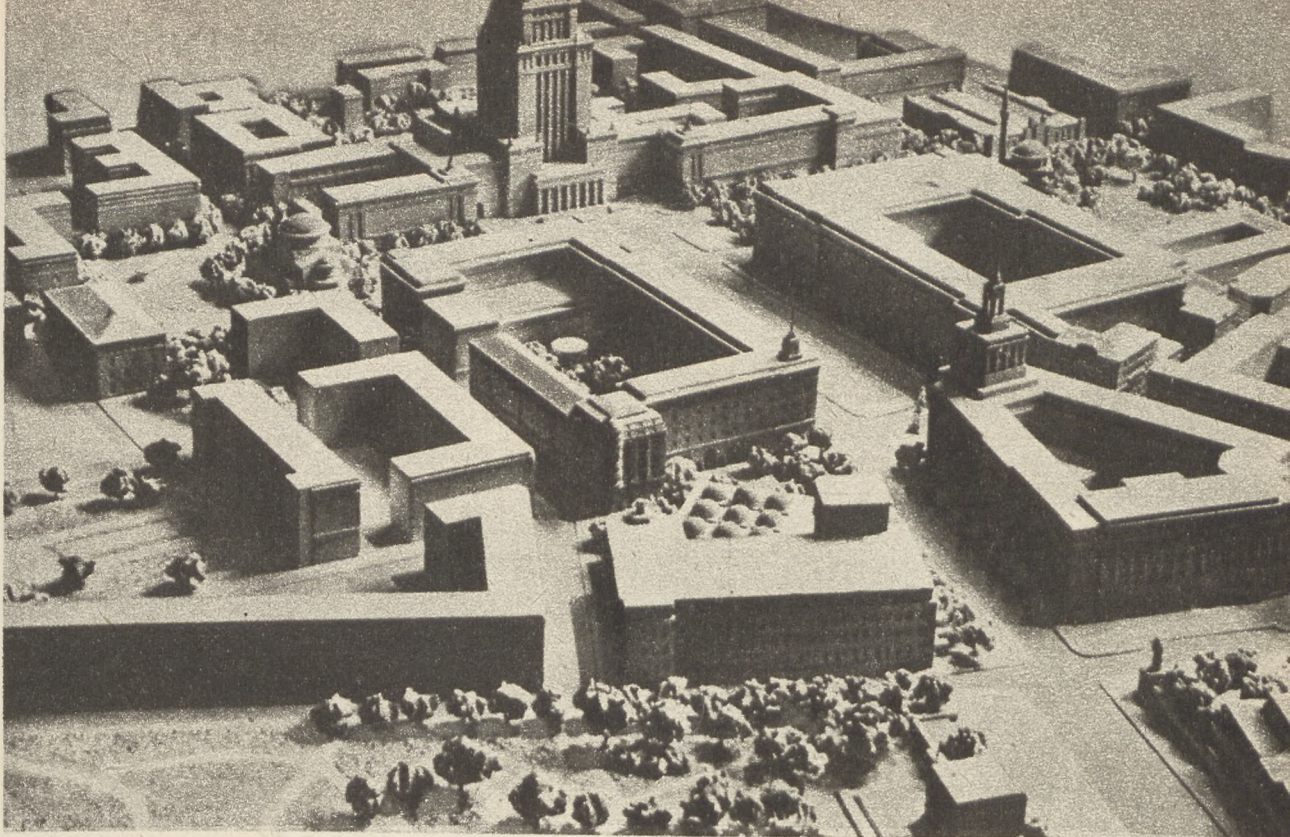
Była to zresztą jedyna konkretna obietnica, udzielona wysłannikom Rydza-Smigłego w Londynie. Na wszelkie dalsze prośby o pomoc — sztab brytyjski doradzał zakupienie broni w krajach neutralnych. Co zaś do dawno przyrzeczonych dostaw przemysłu brytyjskiego, jako najwcześniejszy termin wykonania wymieniano okres... 6 do 8 miesięcy...

Generał Jodl, rozpatrując w perspektywie lat wypadki owego okresu, mówił w swym przemówieniu do generałów niemieckich w dniu 17 listopada 1943 r.:

*„Mocarstwa zachodnie, które były z Polską zaprzyjaźnione, choć wypowiedziały nam wojnę i uformowały drugi front, nie uczyniły nic, aby wyzyskać stojącą przed nimi możliwość wyrwania inicjatywy z naszych rąk“.*

Mocarstwa zachodnie nie uczyniły nic dla Polski w ciągu całej kampanii wrześniowej. Nie tylko nie próbowały wyrwać inicjatywę z rąk Hitlera — Jodl stwierdza, że była taka możliwość — ale nie dotrzymały również następnego zobowiązania, wynikającego z sojuszu z Polską. Najpóźniej 15 dnia wojny powinny były rozpocząć natarcie na zachodzie celem odciążenia polskiego sojusznika. Daremnie rząd polski przypominał im o tym obowiązku przez swą misję wojskową w Paryżu. Komunikaty alianckie donosiły w tym okresie nieodmiennie: „działalność patroli trwa“. Oto owoce parszywych sojuszników Becka, Rydza i Sikorskiego. Polska pozostawiona była „sam na sam z Niemcami“. Dokładnie tak, jak chciał Hitler. Gwarancja brytyjska okazała się tragiczną pułapką. Naród polski został w nią wciągnięty przez swych zdradzieckich władców.

Tak to połączonymi siłami imperialistów zachodnich i władców Polski sanacyjnej, przy zgodnej współpracy pseudosocjalistów brytyjskich i pseudosocjalistów polskich, zgotowany został Polsce grób. Kamień grobowy z tej mogiły odwaliła dopiero po latach krwawych zmagani i nadludzkiego wysiłku bohaterska Armia Radziecka.



TAK WEDŁUG MAKIETY BĘDZIE ZA KILKA LAT WYGLĄDAĆ NOWE ŚRÓDMIEŚCIE STOLICY BUŁGARII.

## NOWE SERCE SOFII



Bojan Cwietkow niedawno ukończył kurs przy zjednoczeniu budowlanym „Sofia“. Dziś pracuje przy wykańczaniu nowoczesnego szpitala w bułgarskiej stolicy.

W nowoczesnym mieście — nowoczesne sklepy. Po sierpniowej obniżce cen zwiększył się ruch kupujących w niedawno otwartym magazynie gastronomicznym.



Źle zabrukowane uliczki, zatłoczone pojazdami i pieszymi, ciasny rynek, w którym przecinają się wszystkie linie tramwajowe miasta, wieczny turkot, niecierpliwe dzwonienie motorniczych — oto obraz śródmieścia Sofii, odziedziczonego po „świetnych latach monarchii“.

Plan całkowitej przebudowy centrum stolicy został zatwierdzony przez rząd w listopadzie roku 1949. Na rok bieżący przypada największe natężenie prac budowlanych. Śródmieście stolicy Bułgarii z każdym miesiącem zbliża się do wyglądu, jaki widzimy na makiecie.

Centrum Sofii przypomina ostatnio... Warszawę. Brygada betoniarzy Michała Miłanowa pragnie budować śródmieście Sofii w tempie prawdziwie warszawskim.



# PIONIERZY NIDZKIEGO



Łódź odczepiła się, chłopcy w czerwonych dresach ujęli wiosła. Rozpoczęło się dziwne misterium, niezrozumiałe dla wczasowiczów i okolicznych chłopów. Później wszystko się wyjaśniło: wyprawa Młodzieżowego Domu Kultury dokonuje pomiarów głębokości

Tekst: MIROSŁAW AZEMBSKI

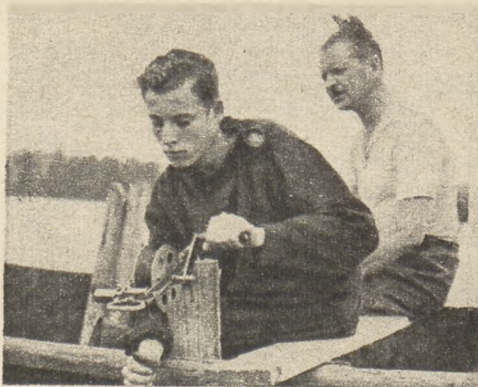
Zdjęcia: W. PRAŻUCH

**R**ANKIEM 3 sierpnia niezwykley kowód wypłynął z kanału na Jezioro Nidzkie. Na przedzie sapał kuter rybacki „Bajka” obficie wypływając spaliny, za nim, na holu, cztery łódzie rybackie z obsadą złożoną co najmniej z dwudziestu chłopców w czerwonych dresach. Gdzieś na wysokości wsi Krzyże, która czerwienią dachami wśród zielonych brzegów tego najpiękniejszego chyba na Mazurach jeziora, łódzie odczepiły się, a chłopcy w czerwonych dresach ujęli wiosła. Rozpoczęło się dziwne misterium, niezrozumiałe dla wczasowiczów i okolicznych chłopów, obficie komentowane, wywołujące żywą wymianę zdań, a często i sprzeczki. Łódzie popłynęły w różnych kierunkach, zawsze prościutko jak strzelił.

— Dwanaście — liczono na brzegu. Tak jest, dwanaście uderzeń wiosłem i — stop. Łódź zatrzymuje się na krótką chwilę, po czym znowu następuje dwanaście pchnięć. Pewna zażywna pani na kajaku powiedziała do męża, że to na pewno wojsko i że w związku z tym podróżują pomidory. Mąż odpowiedział pokornie, że to naprawdę nie jego wina, i że bardzo przeprasza za wszystko.

Wacus z domu wczasowego w Rucianem widać czytał niedawno Londona. Mając w pamięci jego powieści z mórz południowych, zakrzyknął:

— Wszystka kanak na pokład! — W istocie porównanie dość trafne, bo zapomnie-



21 m., największa głębina! Mgr Więkowski (po prawej) dogląda dokładności pomiaru

liśmy powiedzieć, że wśród ubranych na czerwono chłopców siedział na jednej z łodzi poważny pan z wąsami, stateczny i władczy, niczym biały komendant tubylczej flotyli.

Stefan, starszy brat Wacusia, był jednak odmiennego zdania i objaśnił łagodnie:

— Głupcze, nie widzisz, że trenują do zawodów wiosłarskich...

Wobec takiej rozbieżności opinii reporter wsiadł do pierwszej lepszej łodzi i udał się na miejsce, aby osobiście rozwiązać zagadkę.

## O SONDACH I „NAUKOWYM” WIOSŁOWANIU

Niebawem wylądował na pokładzie rzeczonoego holownika „Bajka”. Powitał go zawsze uśmiechnięty szyper i sternik w jednej osobie — młodzieńki Mazur nazwiskiem Kurt Petryk — oraz siwawy pan w szortach (bez wąsów).

— Czy wiosłował pan kiedyś w celach naukowych? — zapytał ten ostatni.

Nie, pewno nie. Czasem wiosłuje się (i to nie za długo), aby komuś zaimponować, czasem trzeba przepłynąć na drugą stronę rzeki i wtedy wypada powiedzieć do przewoźnika: „Może ja panu pomogę”; niekiedy wujaszki ucieknę wędka i bierze się czółno, aby ją dogonić. Ale w celach naukowych?

— Otóż to — powiada siwy pan. — Kiedy ogłosiliśmy zapisy na wyprawę naukową Młodzieżowego Domu Kultury w Warszawie, znalazło się w naszych pracowniach wielu chętnych. Z tych wybraliśmy chłopców, którzy potrafią bardzo dobrze pływać. W porządku. Ale dopiero na miejscu okazało się, że muszą opanować jeszcze sztukę wiosłowania.

I tutaj Włodzimierz Mihal, kierownik młodzieżowej wyprawy naukowej, wyjaś-

nił, na czym polegają tajemnicze manewry łodzi, obsadzonych załogą w czerwonych dresach.

Celem wyprawy jest dokonanie badań batymetrycznych Jeziora Nidzkiego, to znaczy pomiarów jego głębokości. Uwieńczeniem tych prac będzie mapa, którą powita z radością tak Instytut Rybactwa Śródlądowego w Olsztynie, jak i Polskie Towarzystwo Geograficzne. PTG właśnie, wspólnie z Młodzieżowym Domem Kultury w Warszawie, zorganizowało wyprawę, która również dużo przynosi wypoczynku chłopcom i korzyści dla kraju.

Dlaczego tak szumnie to określiłem? Po prostu, będzie to pierwsza mapa batymetryczna tego jeziora, praca chłopców ma więc charakter pionierski. A w praktyce najbardziej się przyda rybakom z miejscowego PGR-u, którzy dali nam do dyspozycji ten kuter. Lecz to już osobny rozdział. Na czym stanęliśmy? Na wiosłowaniu...

Każdego ranka dwudziestu chłopców, podzielonych na cztery załogi, otrzymuje plany jeziora, na których wykreślone są tak zwane ciągi, inaczej mówiąc linie proste, łączące jakieś charakterystyczne punkty brzegów czy wysp. Łódź posuwa się wzdłuż takiej linii, po każdych dwunastu uderzeniach wiosłem zatrzymuje się. Następuje pomiar głębokości przy pomocy sondy. Punkty są ściśle określone według kompasu, trzeba więc wiosłować równomiernie (nie takie proste), trzeba umieć łódź zaha-



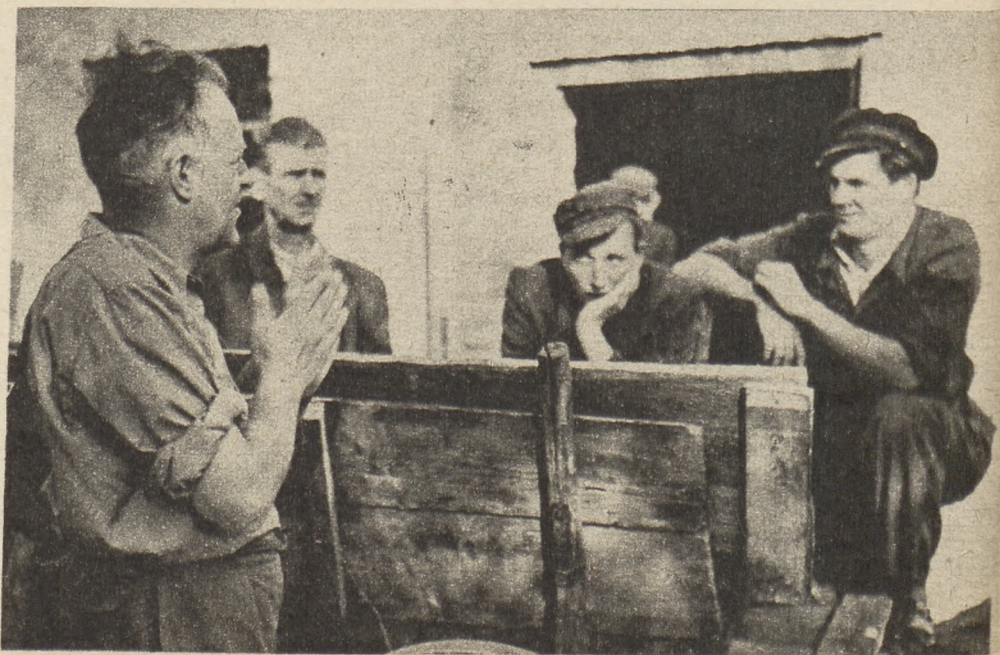
Uwaga, ziemia płonie, każdy krok grozi po-  
wierzchnią piasku torf, niebezpieczeństwo

mować w miejscu, walczyć przeciwko znośnym prądom... Na tym polega „naukowe” wiosłowanie. Jeden z załogi dokonuje pomiaru, a specjalnie wyznaczony „zapisywaniec” uwiecznia tę rzecz w zeszycie i na planie.

## ...10 MINUT Z KOLEGĄ PO FACHU

Tego samego dnia w obozie nastąpiła wzajemna prezencja. Sympatię reportera pozyskał przede wszystkim niestrudzony Maciuś Musiał, który tego dnia wydawał prowiant (o egoizmie ludzki!). Za chwilę okazało się jednak, że jest to niejako kolega

Kierownik wyprawy W. Mihal (po lewej) jest zdania, że chłopcy jak najściślej powinni współpracować z rybakami. Tak samo sądzi Petryk (po prawej), sternik kutra „Bajka”



Każda niedziela przynosi nowe atrakcje: dziś występuje zespół ludowy z Ukty.



# O JEZIORA



Parzeniem! Od kilku miesięcy tu się pod po-  
czyha na nieświadomych wczasowiczów

Do fachu: redaktor gazetki ściennej. Przy-  
jaźń scementowała się na dobre. Maciuś  
nakreślił kilka sylwetek współuczestników  
obozu. Poszło mu to tym łatwiej, że posłu-  
giwał się satyrą napisaną poprzednio do ga-  
zetki. Ogłosił tam „Nowości wydawnicze”  
opracowane rzekomo przez kolegów. Oto  
kilka tytułów z tej rubryki:

Biblioteka Przodowników Pracy — Jerzy  
Dębski — „Jak zjadłem 6 obiadów...” (taki  
żarłok nie na każdym obozie się trafia);

Bogusław Koperski — „1001 sposobów  
rozśmieszania kierownictwa” (to, proszę  
pana, o naszym obozowym komiku...);

Prof. Dr Henryk Z \*\*\*\* — „Wstęp  
do teorii mycia nóg” (Maciuś dyskretnie  
wstrzymał się od komentarzy);

Andrzej Kruszewski — „Sondy zegaro-  
we” (pożyczał wszystkim zegarek, aż mu  
utopili...);

I tak dalej. Maciuś przerwał niebawem  
opowiadanie, bo odwołano go do jakiejś  
Pracy. Ten przemity, uśmiechnięty przod-  
ownik obozu jest w wielu wypadkach nie-  
zastąpiony.

„Urodził się do pracy społecznej” — ma-  
wia o nim pan Mihał.

— W ogóle, jeśli chodzi o dyscyplinę w  
Pracach badawczych — dodaje kierownik  
naukowy mgr Więckowski, (ów „biały mas-  
sa” z wąsami) — chłopcy zdali egzamin na  
bardzo dobrze...

— Tak, ale...

Jak to często bywa w życiu, jest także i  
tutaj jakieś „ale”. Zapadł zmrok. Trzeba  
było widocznie aż tego jedyne w swoim  
rodzaju nastroju, jaki powstaje w lasach  
mazurskich o zmierzchu, aby usłyszeć hi-  
storię o tym, jak do właściwych wniosków  
dochodzi się dopiero po smutnych doświad-  
czeniach.

Było najpierw mianowicie tak, że chłop-  
cy sprawnie i karnie wykonywali swoje  
naukowe zadania, poza tym niewiele oboho-

dziła ich dyscyplina obozowego współży-  
cia. Uważali się za „wolnych ludzi”, z któ-  
rych każdy odrabia swoje — i dowidzenia;  
jest wczasowiczem nad pięknym jeziorem  
mazurskim, chadza własnymi ścieżkami.  
Współpraca w kolektywie? Frazes kierow-  
nictwa. Każdy na własną rękę doskonale  
może sobie poradzić. Solidarność, nieugięta  
postawa wobec trudności? Dobrze, dobrze,  
już o tym słyszeliśmy.

Przyszedł jednak dzień, który dowiódł,  
iż nie tylko przy rzucaniu sondy i wiosło-  
waniu na tempa potrzebny jest duch zespo-  
łowości. Dzień ten obfitował w dramatyczne  
wydarzenia, ujawnił, do czego prowadzi  
lekkomyślność, jak szkodliwe bywa nied-  
balstwo i jak wiele kolega potrafi zaryzy-  
kować dla ratowania kolegi... Słowem jest  
to historia o niewybaczalnych błędach i  
niespodziewanym bohaterstwie...

## ZIEMIA PŁONIE!

Jeziro Nidzkie, niezbyt szerokie, ciągnie  
się pasem o 28 kilometrach długości. Pew-  
nego dnia wypadło zrobić pomiary na je-  
go wschodnim krańcu, w odległości ponad  
dwudziestu kilometrów od obozu. Petryk  
świtem podprowadził swój kuter do ka-  
nału, sprawnie przyczepiono łodzie, zała-  
dowano przyrządy pomiarowe i w drogę.

Tereny przybrzeżne są tutaj rzadko za-  
ludnione, raz na parę kilometrów mija się  
jakąś niewielką wieś, a już im dalej na  
wschód, tym trudniej napotkać człowieka.  
Puszcza Piska otacza całe jezioro, gęsty las  
porasta wyspy i wysepki malowniczo roz-  
rzucone wzdłuż brzegów, krajobraz staje  
się coraz dzikszy.

Dwie łodzie odczepiły się na trasie, gdzieś  
wcześniej, a trzecia, pod dowództwem in-  
struktora Bartoszyńskiego, po dwu godzi-  
nach jazdy na holu dotarła do oznaczonego  
na mapie cypla, w pobliżu nieistniejącej  
już, spalonej podczas działań wojennych  
wsi Walldorf.

Po dokonaniu pomiarów dobili do brze-  
gu: czas na drugie śniadanie. Okolica, trze-  
ba wyznać, niezbyt miła. Zupełne pustkow-  
ie, a na domiar złego na przestrzeni kilku  
hektarów teren wypalony doszczętnie: ogień  
strawił wieś, przyległe do chałup ogrody,  
całą połąć lasu, a nawet miejscowy cmen-  
tarny wiejski.

— Dwa razy się paliło — informował  
Petryk. — Raz w wojnę, a ostatnio jakoś  
w maju tego roku. Ktoś zaproszył ogień,  
na szczęście nie było już budynków, same  
ruiny. Mówią ludzie, że tu niebezpiecznie  
chodzić, bo gdzie niedługo jeszcze się tli...

Puszczono, niestety, tę uwagę mimo uszu.  
Zaraz po śniadaniu chłopcy rozbiegli się  
na wszystkie strony. Kilku dotarło do na-  
der osobliwego miejsca — wydmy piasczy-  
stej, zasłanej zwalonymi pniami drzew,  
z których większość osmalił kiedyś ogień.  
Dziwne wrażenie: nigdzie nie widać pło-  
mienia, a jak gdyby jakiś żar unosił się nad  
wydmą.

Razem z uczestnikami obozu wybrał się  
tego dnia syn mgr. Więckowskiego — Ja-  
nek. Jemu się to właśnie przydarzyło. Po  
pniu sosny dotarł nad środek wydmy i sko-  
czył w piasek. Jego rozpaczliwy krzyk ze-  
lektryzował wszystkich. W miejscu, gdzie  
opadł, spod ziemi buchnął płomień i kłę-  
by dymu. Chłopiec stracił orientację i za-  
miał wygramolić się z powrotem na pień,  
począł biec przez wydmy wznosząc za so-  
bą obłok rozżarzonego popiołu. Przysnaj-  
cie, że można było zgłupieć zupełnie: ziemia  
płonie! Z zewnątrz zwyczajny piasek (jak  
się później okazało spopielały), wewnątrz  
torf, żarzący się od kilku miesięcy.

Czy znanie powiedzenie: „on by za tobą  
w ogień skoczył”...? To wydarzyło się na-  
prawdę, na Mazurach, w sierpniu 1953 roku.  
W ten potok podziemnego ognia rzucił się  
instruktor Bartoszyński, za nim inni chłop-  
cy. Janka Więckowskiego wyciągnięto na  
bezpieczny grunt w ostatniej chwili: trzy-  
mał się jeszcze na swych poparzonych no-  
gach. Co by się stało, gdyby upadł, gdyby  
był przyszedł tutaj sam?...



Prócz pomiarów głębokości prowadzono dodatkowe prace: 3 razy dziennie notowano  
jawiska meteorologiczne: temperaturę powietrza, wody, wilgotność atmosfery...

Co by się stało w końcu, gdyby na przy-  
kład taki Boguś Koperski okazał się tylko  
obozowym komikiem? Gdyby nie zabrał  
niemal siłą roweru pierwszemu przejeżdża-  
jącemu chłopu i w ciągu godziny nie spro-  
wadził telefonicznie pogotowia? Kto widział  
kiedykolwiek to beznadziejne pustkowie,  
może mieć wyobrażenie, jaki byłby los po-  
parzonych, daremnie wyczekujących po-  
mocy.

„Indywidualiści”, „szlachetni samotni-  
cy”, ludzie chodzący własnymi ścieżkami —  
oto dla was morał!

I jeszcze o jednej sprawie trzeba powie-  
dzieć, wspominałem o tym na początku.

Urzędnik Nadleśnictwa w Rucianem, od-  
naleziony po długich poszukiwaniach w go-  
spodzie ludowej, spokojnie przyjął do wia-  
domości relacje o tym wydarzeniu. Sły-  
szał o tej niebezpiecznej wydmy — cóż,  
kiedy tamten teren należy do Nadleśnic-  
twa w Ukcie; interwencja leży więc poza  
jego kompetencjami. Prośby i groźby kie-  
rownictwa obozu i samych chłopców zdo-  
łały wydebić jedno urzędnicze ustępstwo:  
na którymś tam drzewie zawieszono kartkę  
z nagryzłonymi olówkiem słowami: „U-  
waga, grozi niebezpieczeństwo poparzenia”.

Byłem później na miejscu wypadku, za-  
szedłem od strony, gdzie nie było żadnej  
kartki (może zmył ją już deszcz). Rzuciłem  
na piasek kartofle i grzyby: piekły się w  
ciągu kilku minut. Zanurzałem w tej go-  
rącej lawie kij; zapalił się płomieniem. Od-  
jeżdżając widziałem kilka łodzi żaglowych  
i kajaków — to wczasowicze. W południe  
przycumują łodzie i rozejdą się po lesie w  
poszukiwaniu dogodnego terenu na obozo-  
wisko...

## JUTRO BĘDZIE WIĘCEJ...

Pobył na Mazurach ma się ku końcowi,  
chłopcy zwijają obóz. Pieczolowicie paku-  
ją do skrzyń mapy, plany, zapiski — owoc  
dwutygodniowych badań. Bilans imponują-  
cy: zamiast zaplanowanych 40 ciągów —  
118. Plan Jeziora Nidzkiego pokrywa teraz  
gęsta sieć linii, na których zaznaczono 1515  
punktów, gdzie dokonano pomiarów głębo-  
kości. Obszar jeziorny o 28 kilometrach dłu-  
gości przestał być wodą nieznaną, a nieba-  
wem do katalogu jezior mazurskich przy-  
będzie nowa mapa z uwidocznionymi base-  
nami, płyocznami, z całą rzeźbą dna. Da ona  
wiele do myślenia naukowcom, pracującym  
nad historią powstania i ewolucji tego je-  
ziora. A korzyść praktyczna? Właśnie, o  
tym jeszcze należy pomówić...

Majątek obozowy jest już na samocho-  
dach, reporter nie ma tu nic do roboty. Ra-  
czej odwiedzi o 6 rano przystań rybacką  
PGR Ruciane. O tej porze wraca kuter pe-  
łen ludzi i skrzyń z rybami. Łodzie zostały  
przy odległych łowiskach, przybывая tylko  
załogi i ich plon. Dobijają do pomostu. Po  
chwijającym się trapię rybacy w czarnych

maciejówkach znoszą ładunek sandacza,  
szczupaka, okonia... Nad całością czuwa  
Alfred Dynda; odchodzi spokojny, dopie-  
ro wtedy, kiedy ryby znikną wewnątrz wo-  
zów-lodowni.

— Mapa jeziora? — Dynda drapie się w  
głowę. — Mnie tam nie potrzebna, ja tu-  
tejszy, od dziecka jestem na tej wodzie, tak  
jak mój ojciec i dziadek. Powiem w każ-  
dym miejscu, gdzie jak głęboko, gdzie mie-  
lizna, gdzie jaki kamień...

— Ale — dodaje po chwili — młodzi zro-  
bili dobrą robotę. Weźmy, na ten przykład,  
że do zespołu dojdzie jakiś nowy rybak,  
z innych stron. Mnie ojciec uczył z dzie-  
sięć lat, a taki obcy nauczy się z mapy od  
razu...

Po czym zaczął chwalić dobrą myśl, że  
uczestnicy obozu jeździli z Petrykiem i ta-  
kimi innymi, co znają wodę. Zaoszczędzili  
sobie trochę roboty.

Słońce stoi wysoko nad mazurskimi la-  
sami. Dziewięć lat temu w betonowym bun-  
krze ukrytym wśród tych lasów eksplo-  
dowała bomba zegarowa. W imieniu pruskie-  
go junkierstwa rzucił ją pod nogi Hitlero-  
wi niejaki hrabia von Stauffenberg, nieza-  
dowolony z malarza, któremu nie udało się  
podbić świata. Stare to już te wojenne cza-  
sy, odległe. W Puszczy Piskiej śpią dzisiaj  
w namiotach wczasowicze, młodzież gra  
poranną pobudkę w obozach sportowych,  
wypoczynkowych, naukowych. Rybak-Ma-  
zur zgłasza magazynierowi:

— 300 kilo ryby, jutro będzie więcej...

— 300 kilo ryby, jutro będzie więcej! Przy  
potowach pomoże mapa Nidzkiego Jeziora



# FOTO

## KORRESPONDENCI DONOSZA

### ROBOTNICZY FRANCJI — TO NASI BRACIA

Potężny ruch strajkowy francuskiej klasy pracującej, wyraz walki przeciwko antydemokratycznemu zarządzaniu rządu Lanieli, spotkał się z wielkim zainteresowaniem i poparciem mas pracujących naszego kraju. We wszystkich zakładach pracy odbywały się masówki, na których polska klasa robotnicza całkowicie solidaryzowała się z masami pracującymi Francji i zbierała dla nich składki.

Na kopalni „Thorez” w Walbrzychu, w której pracują górnicy — reemigranci z Francji — masówka ta miała specjalny charakter.

Wielu z tych górników wspólnie z robotnikami francuskimi nieraz już walczyło z polityką burżuazyjnych rządów Francji.

W wyniku naszej zdecydowanej akcji strajkowej w 1936 r. — opowiadał na masówce sztygar, Antoni Kornalewski — uzyskaliśmy pew-

ne prawa. My, górnicy, otrzymaliśmy wówczas 40-godzinny tydzień pracy i prawo do urlopu.

Sekretarz Rady Zakładowej kopalni „Thorez”, Stefan Lindner, brał udział w strajku górniczym w r. 1948.

W kopalni w Barline, w której wówczas pracowałem, urządziliśmy strajk okupacyjny, ani na chwilę nie opuściliśmy kopalni. Dopiero wojsko pod osłoną lekkich czołgów i przy pomocy gazów łzawiących usunęło nas z zakładu pracy. Pamiętam, jak dużą podporą była wtedy dla nas pomoc od polskich robotników.

Kiedy więc w ubiegłym miesiącu nadeszły wieści o bohaterskiej i wytrwałej walce mas pracujących Francji — górnicy kopalni „Thorez” postanowili zebrać między sobą pieniądze, aby wraz z wyrazami solidarności przesłać je strajkującym towarzyszom.



Przed oddaniem włoka na białą rybę założone kutra, członkowie spółdzielni „Certa” — Z. Borkowski i St. Raszecki — dokładnie oglądają sieci.

Na całym Zalewie Szczecińskim i jeziorze Dąbskim połowów dokonuje Spółdzielnia Rybołówstwa Morskiego „Certa”, powstała z połączenia dwóch spółdzielni: dawnej „Certy” i „Plasta”.

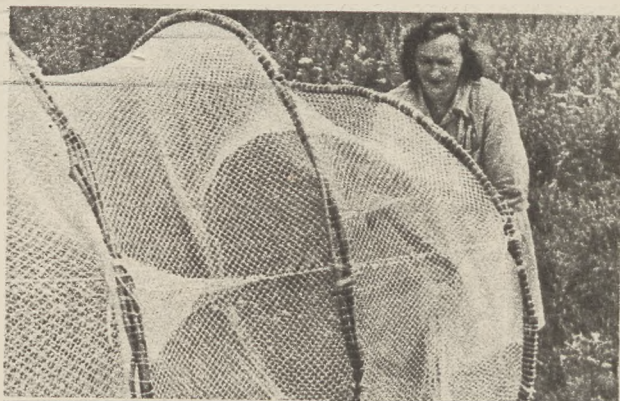
Należy ona do największych spółdzielni rybackich na Wybrzeżu Bałtyckim i zrzesza na terenie Pomorza Zachodniego 80 proc. rybaków. Zaopatruje całkowicie swych członków w sprzęt i tabor, a przez szkolenie na specjalnych kursach dba o podniesienie ich wiedzy fachowej.

Plan ilościowy na I półrocze spółdzielni „Certa” wykonała w 102,2 procenta. Niemalą zasługę mają w tym Henryk Tosut i Franciszka Stachowiak z Wolina, Adolf Borowski z Przytoru i Stanisław Stolarek z Międzyzdrojów — przodownicy pracy, którzy nałowili największej ryby.

„Certa” w każdej większej osadzie zorganizowała „Domy Rybaków” i biblioteki, które zapewniają kulturalny wypoczynek i rozrywkę.

Rybaczy spółdzielni zadowoleni są więc ze swej pracy i swych osiągnięć.

M. Bakota, Szczecin



Anna Witzner, przodująca sieciarka „Certy”, z wielką umiejętnością naprawia sak, powszechnie używany do połowu węgorzy.

### ŻOŁNIERZE — ARTYŚCI

Mieszkańcom Bytomia i jego okolic dobrze jest znany artystyczny zespół wojskowy, często umilający im występiami czas po pracy.

Zespół ten, utworzony z oficerów, szeregowych i cywilnych pracowników jednostki, posiada sekcję chórską, dramatyczną, recytatorską, muzyczną i taneczną. Repertuar jego

mówi o życiu żołnierskim, o polsko-radzieckim braterstwie broni i o budownictwie socjalistycznym w naszym kraju.

W ubiegłym roku zespół dał kilkanaście występów w zakładach pracy Bytomia oraz w PGR i spółdzielniach produkcyjnych w województwie stalinogrodzkim.

J. Sowa, Bytom

### PIERWSI W RADOMIU

— Pierwsi w Kielecczyźnie odpowiemy Sajowi — zdecydowali sztanczerzy Radomskich Zakładów Obuwia z brygady Klocka, złożonej z piątkarzy miejscowego „Włókniarza”. — Nie wypuścimy ani jednej cholewki z brakiem!

Zobowiązanie to ambitna brygada wykonała bez zarzutu: od kwietnia do dnia dzisiejszego nie wyprodukowała ani jednej pary obuwia wybrakowanego.

Śladem brygady Klocka poszły załogi wszystkich taśm produkcyjno-montażowych i zobowiązały się do końca roku wykonać ponad plan 33.400

par obuwia I gatunku, starając się jednocześnie oszczędzać surowiec, dbając o likwidację „wąskich gardeł” i rytmiczność produkcji.

Pod hasłem: „Ja nie wypuszczę braku” pracuje dziś w Radomskich Zakładach Obuwia prawie 2.000 robotników.

Nawet warsztat majstra Hojdy, który przed podjęciem wezwania starachowickiego montera potrafił w ciągu tylko jednego dnia wyprodukować aż 15 procent braków, dziś należy do przodujących.

T. Zimecki, Radom  
Fot. M. Włodarkiewicz



9-osobowa brygada od kwietnia nie wykonała ani jednej pary wybrakowanego obuwia.

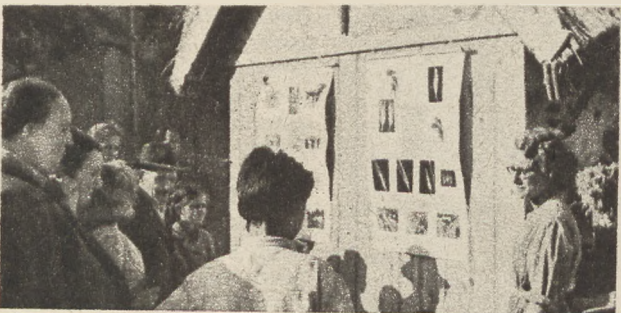
### NAUKOWCY BLIŻEJ ŻYCIA

Stacja naukowo-badawcza Instytutu Hodowli i Aklimatyzacji Roślin w Grotkowicach (woj. krakowskie) zdobyła już sobie sławę w powiecie bocheńskim. Słynie ona z pięknych upraw polowych, dobrze rozwiniętej hodowli, wzorowej opieki nad robotnikami rolnymi i z „cudów”.

Tak nazywają w okolicy

zaufanie i sympatię okolicznych chłopów.

Nie pomijają też żadnej okazji, by służyć chłopom radą czy informacją, by na konkretnych przykładach pokazywać korzyści doświadczonych naukowców. Na przykład, na większych okolicznych kiermaszach stacja IJAR w Grotkowicach organizuje własne stoiska z cie-



Stoisko stacji naukowo-badawczej w Grotkowicach na kiermaszu na rynku bocheńskim.

miczurinowskie doświadczenia, prowadzone przez naukowców IJAR-u. A że naukowcy ci opiekują się kilkoma spółdzielniami produkcyjnymi i ogródkami miczurinowskimi, współpracują z rolnikami indywidualnymi, wygłaszają wiele pogadanek — zdobyli więc sobie pełne

kawymi eksponatami; podpisy i pogadanki wyjaśniają chłopom cel tych badań w walce o jak najwyższe osiągnięcia w gospodarce rolnej.

W ten sposób naukowcy pracownicy z Grotkowic coraz bardziej zacieśniają kontakt z chłopami, coraz bardziej zbliżają naukę do życia.

Jęń Kał, Kraków

## FOTOGRAFIA NA CODZIEN

### DLACZEGO POWIĘKSZAĆ?

Oko ludzkie najlepiej widzi dany obraz i ocenia jego perspektywę z odległości co najmniej równej przekątnej tego obrazu. Normalnie oglądamy obrazki i czytamy druk z odległości ok. 25 cm. Z tej więc odległości powinniśmy też oglądać i nasze zdjęcia, nie jest to jednak możliwe, gdy mają one miniatury 6 x 6, 6 x 9, czy nawet 9 x 12 cm. Przybliżamy wówczas fotografie do oczu, aby dojrzeć szczegóły, a tym samym zatracamy odczucie właściwej perspektywy obrazu, wydaje się on nam płaski.

Stąd wniosek: zdjęcia małych rozmiarów, ażeby je właściwie odczuć i ocenić, powinniśmy oglądać przez szkło powiększające. Dlatego też, jako zdjęcia próbne, tzw. wglądówki, wystarczy nam nawet stykowe odbitki z negatywów 24 x 36 mm. Po obejrzeniu ich przez lupę, dokonamy wyboru, które negatywy będziemy dalej opracowywać.

Powiększenia nasze oglądamy gołym okiem. Do tego celu nadaje się rozmiar fotografii co najmniej 13 x 18 cm, gdyż jego przekątna wynosi 22 cm. Zdjęcia większych rozmiarów, jak 24 x 30, lub 30 x 40 cm, przeznaczone do zawieszenia na ścianie, oglądać będziemy z dalszej odległości, kilkudziesięciu centymetrów. Największe rozmiary powiększeń, użyte jako dekoracje czy plakaty, oglądamy z odległości kilku czy kilkunastu nawet metrów.

Drugim zasadniczym powodem powiększania naszych zdjęć jest możliwość operowania wycinaniem negatywu, regulowania naświetlania poszczególnych części obrazu, prostowania linii „walących się domów”, powstałych przez pochyle trzymanie aparatu podczas zdjęcia. Częstokroć też, dla podkreślenia głównego tematu obrazu, po przesłonięciu go specjalnie przygotowanym szablonem kartonowym, zaświatłami dodatkowo zbędne szczegóły, stwarzając jednolite tło.

Konieczność powiększenia jest powszechnie uznana wśród amatorów, jeśli chodzi o negatywy rozmiarów od 24 x 24 mm do 6 x 6 cm, lecz już nawet z tych ostatnich wykonuje się zazwyczaj tylko odbitki stykowe. Nawet w wypadku powierzenia swych negatywów zakładom fotograficznym, nie należy zamawiać automatycznie „po jednej z dobrych”, lecz film po wywołaniu dokładnie, a zarazem ostrożnie obejrzeć, zaznaczyć na negatywach wyciniki, które mamy powiększyć. W ten sposób usuniemy zbędne szczegóły, poprawimy błędy kompozycyjne, wyprostujemy często spotykane odchylenia od linii poziomych i pionowych.

Przy negatywach na taśmie 35 mm, tnijemy film na odcinki po 6 klatek i wykonujemy z nich odbitki stykowe. Te miniatury pozytywów, oglądane przez szkło powiększające, pozwolą nam dokonać wyboru negatywów, z których zrobione będą następnie powiększenia.

### ODPOWIEDZI REDAKCJI

St. Królikowski, Biedrusko i J. Kaźmierczak, Warszawa — Z podręczników fotograficznych, wydanych w ostatnich latach, zalecamy przeczytać: inż. Eug. Szmidtgała „Materiały fotograficzne i ich obróbka”, dr. T. Cypriana „Technika nowoczesnej fotografii”, E. Kwaśniewskiego „Foto-leksykon”, J. Pławewskiego „Fotografowanie nie jest trudne”. Niestety, wszystkie te podręczniki są już wyczerpane, można je tylko wypożyczyć w bibliotekach. Wkrótce ukaze się nowy podręcznik dla fotografów R. Burzyńskiego. Na pozostałe pytania odpowiadamy listem.



Kierownik oddziału XIV kopalni „Thorez”, A. Kornalewski, opowiada na masówce o wspólnej walce z towarzyszami francuskimi w r. 1936 przeciw zarządzeniom burżuazyjnych władz.

### — OLSZTYN POWRACA DO DAWNEJ ŚWIETNOŚCI —

Stara brama olsztyńska — ostatni szczyt murów obronnych — od stuleci dzielił zmienne losy miasta; lata rozkwitu i upadku, wolności i niewoli, świetności i zupełnego zapomnienia. Pod jej pięknym sklepieniem wjeżdżały ongiś do grodu wspaniałe orszaki biskupów warmińskich, świetni rycerze i piękne damy, bogaci kupcy z dalekich stron.

W pobliżu zamku, co strzegł czujnie miasta przed wrogiem, otoczony wieńcem ślicznych kamieniczek o stylowych podcieniach, rozsiadł się rynek z gotyckim ratuszem — miejsce zgromadzeń i najważniejszych wydarzeń miasta, ośrodek bujnego niegdyś życia Olsztyna.

Niestety, burze wojenne, często przeciągające nad Warmią, nie zaoszczędziły i Olsztyna. Większość tych śladów przeszłości, zabytkowych budowli, uległa zupełnemu zniszczeniu.

Wielokrotnie niszczone przez Krzyżaków, w wieku XVII dwukrotnie padał Olsztyn pod naporem nawały szwedzkiej. Z kwitnącego grodu pozostała zgłiszca i ruiny. W okresie kampanii napoleońskiej pastwą ognia padała wnętrze kościoła św. Jakuba wraz z cennymi rzeźbami i malowidłami. Resztę zni-

szeceń dokonała ostatnia wojna.

W wieku XIX wraz z ożywieniem handlowym pojawiają się w Olsztynie wielkie składy towarowe i czynszowe kamienice o tandetnych fasadach, szpecące miasto i tłumiące jego średniowieczny charakter.

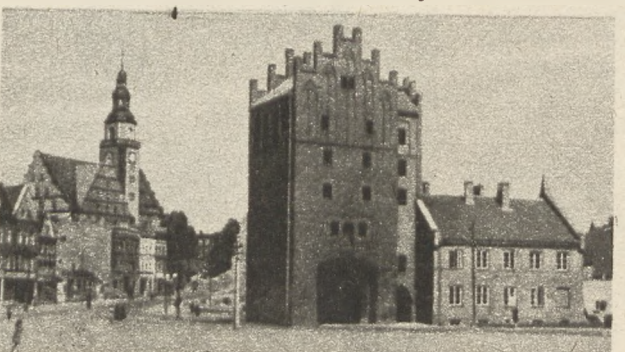
Po wiekach Olsztyn powrócił do macierzy, a staromiejski rynek, na którym znów rozbrzmiewa mowa polska, odzyskuje swe dawne, piękne oblicze.

Odbudowa starego miasta oparta na studiach historycznych i opracowaniach urbanistycznych powraca miastu średniowieczny kształt architektoniczny, przystosowany do nowoczesnych potrzeb i warunków życia.

Odrestaurowane zostaną również pozostałe zabytki. W przyszłości najstarszą część miasta otoczy pas zieleni, a u stóp zamku powstanie park, opadający aż ku rzeczynie. Rynek z ratuszem powróci do dawnego wyglądu, a uliczki Olsztyna znów czarować będą swym średniowiecznym urokiem. Z ulicy Marchlewskiego, przebiegającej pod Wysoką Bramą, zniknie linia tramwajowa i odsłonięte zostaną stare mury na skarpie.

M. Grabinińska, Olsztyn

Wysoka brama w Olsztynie, otwierająca ongiś wjazd do miasta, mieści dziś schronisko dla wycieczek.



# NIEKUPAŁ

JERZY ŻUKOWSKI

**I**NŻYNIER Borowy czuje, jak cała krew spływa mu nagle do serca. Drżącymi rękami rozluźnia krawat i rozpina kołnierzyk.

Gabinet, do którego wszedł przed chwilą, wiruje mu w oczach, nabiera jakiejś nierealnej perspektywy, a kontury przedmiotów osnuwają się lekką mgiełką i zamazują. Nawet głos mężczyzny, który siedzi za dużym, orzechowym biurkiem i rozmawia przez telefon, dochodzi do Borowego jakby z głębokiej studni.

„Za chwilę skończy” — uświadamia sobie. Wie, że za wszelką cenę musi się uspokoić, bo nie wydobydzie z siebie słowa. Przez głowę przewijają mu się błyskawicznie pogmatwane skojarzenia i strzępy obrazów. Usiłuje opanować zdenerwowanie i ułożyć to wszystko w jakimś porządku. Nie wiadomo dlaczego nasuwa mu się wciąż natrętnie przed oczy ciemna plama twarzy ukrytej w cieniu. Spod daszka czapki wświdrowuje się weń przenikliwe spojrzenie...

Inżynier Borowy stał i czekał cierpliwie. Przed okienkiem biura przepustek wita się kolejka interesantów. Wzrok Borowego leniwie pełzał po twarzach ludzkich, zapuszczał się przez oszkloną ścianę w głąb hallu, wspinał się po schodach wyłożonych czerwonym, kokosowym chodnikiem, ślizgał się bezmyślnie po boazeriach, aż wreszcie zatrzymał się na afiszu przypiętym pineskami do ściany.

Czarna wskazówka zegara wiszącego w hallu posuwała się miarowo naprzód. Przy oszklonym wejściu stał wartownik w granatowym mundurze oparty o karabin i obojętnie przyglądał się interesantom. Co parę minut odrywał się jakiś człon wijącego się przed okienkiem węży i wtedy wartownik prostował się, sprawdzał przepustkę i salutował i wracał do poprzedniej pozycji.

Z plakatu wpatrywało się uparcie w Borowego spojrzenie człowieka, którego twarz pozostawała w cieniu. Było ono tak sugestywne, że Borowy mocniej ścisnął pod pachą wypakowaną teczkę z jasnej, świńskiej skóry. Na afiszu czerwienił się napis: „Bądź czujny”.

„Dobry plakat — skonstatował. — A z tą podejrzliwością na każdym kroku to już gruba przesada. Sami się tylko ośmieszamy”.

Inżynier Borowy na prywatny użytek nigdy nie stosował słowa: czujność.

— Podejrzliwość urosła już do takiej miary, że stała się śmieszna — mawiał w gronie zaufanych przyjaciół. — Nie jesteśmy dziećmi i rozumiemy, że istnieją tajemnice i należy je chronić. Ale obarczać nerwy podejrzliwością o każdej porze i okazji, to już zakażenie na jakiś chorobliwy stan.

Inżynier Borowy oderwał wzrok od plakatu i skierował na wartownika strzegącego wejścia.

„Po kiego licha ten zdrowy chłop sterczy tu bez roboty? Chyba po to, aby ktoś ministerstwa nie ukradł!” — pomyślał złośliwie. Machinalnie spojrzał na swoje wymięte spodnie i zakurzone buty. Poczul zmęczenie.

„Trzeba było wziąć miejsce w wagonie sypialnym, to człowiek tak by się nie zmordował!” — przemknęło mu przez głowę.

Ale wezwanie przyszło tak nagle, że nie miał nawet czasu niczego przed podróżą załatwić. Odruchowo wyjął z kieszeni pamiątki telegraficzne i przeczytał chyba po raz dziesiąty:

„Inżynier Borowy stop Przybyć 30 bm. godz. 10 Departament Techniki stop Przedyskutowanie projektu na miejscu stop Drzewiecki”.

Uśmiechnął się zadowolony. Rok strawił nad opracowaniem procesu technologicznego produkcji nowej masy plastycznej o dużej trwałości. No i udało się. Teraz nareszcie go wezwali, żeby dyskutować. Ale nad czym? Przecież wszystko jasne jak słońce. W duchu żywił nawet nadzieję, że nie pominą go przy nagrodach państwowych.

Z rozmysłu wyrwało go pytanie, rzucone z okienka biura przepustek.

— Do kogo?

— Departament Techniki.

Wyjął z portfela legitymację i podał przez okienko. Po chwili zwrócono mu ją z powrotem.

— Nie przedłużona. Macie delegację służbową?

Zły, szperał po kieszeniach, aż wreszcie podał żądany dokument.

— Nie macie wpisanego do legitymacji adresu. Proszę kartę meldunkową albo dowód osobisty.

Borowy czuł, że zaczyna dławić go wściekłość.

— Ale biurokracja, psiakrew — mruzczał, grzebiąc w portfelu. — Pięćdziesiąt papierków im pokazuje...

Wreszcie, trzymając w ręku upragnioną przepustkę, podszedł do wartownika. Było już późno. Wartownik, nie zważając na zniecierpliwienie Borowego, dokładnie obejrzał przepustkę i poprosił grzecznie o legitymację z fotografią. Borowy przeszedł go zabójczym spojrzeniem i zacisnąwszy zęby podał dokument.

Po chwili wspinał się już po marmurowych schodach, ciekawie rozglądając się dokoła. W nowym gmachu ministerstwa był po raz pierwszy. Rozpytując po drodze woźnych, siedzących na piętrach, mijał długie kory-

tarze i odczytywał tabliczki umieszczone na lakierowanych drzwiach. Wreszcie zatrzymał się.

— Dyrektor Departamentu Techniki, inżynier Drzewiecki — przeczytał. — Wejście przez Sekretariat.

Skierował się więc do następnych drzwi, przy których stało dwóch mężczyzn, tarasujących wejście. Jeden z nich, czarniawy, o rozbieganych niespokojnie oczach, stał z szacunkiem, trzymając w rękę plik papierów i mówił głośno:

— A więc kiedy towarzysz dyrektor da decyzję?

Tęgi mężczyzna z dużą blizną na policzku, tytułowany dyrektorem, poklepał rozmówcę dobroduszenie po ramieniu.

— Ale jesteście, inżynierze, w gorącej wodzie kąpani. Na kolanie nie mogę przecież tego załatwić. Przyjdźcie do mnie za godzinę, jak wrócę z konferencji, to pogadamy dłużej i zobaczmy, co robić.

Borowy stał chwilę niezdeterminowany.

— Przepraszam — zwrócił się do niskiego inżyniera.

— Czy tutaj mieści się Departament Techniki?

— Tak. A wy do kogo?

— Do dyrektora — wyjaśnił krótko Borowy.

Mężczyzna z blizną, który do tej pory rozmawiał z inżynierem zagadniętym przez Borowego, oddalił się już i szedł powoli długim korytarzem.

Czarniawy inżynier spojrzał ciekawie na Borowego i odparł szybko:

— Wy do dyrektora? A to łapcie go, bo wam ucieknie — powiedział życzliwie, wskazując palcem na odalającą się sylwetkę w szarym, flanelowym ubraniu.

Borowy dopadł dyrektora na schodach.

— Towarzyszu dyrektorze! — zawołał, widząc, że zamierza mu zniknąć z oczu za zakrętem korytarza.

Dyrektor zatrzymał się i spojrzał pytająco na Borowego.

— Byłem wezwany na dziś, na godzinę dziesiątą — wyjaśnił zdyszany.

— Ach, inżynier Borowy?

Serdeczny uśmiech rozjaśnił twarz mężczyzny z blizną.

— Racja, wzywałem was towarzyszu, ale wybaczenie, wypadła mi niespodziewanie konferencja. Będę mógł was przyjąć za jakąś godzinę. Nie gniewajcie się na mnie — usprawiedliwiał się, ściskając Borowemu dłoń. — A projekt macie naturalnie ze sobą — zapytał.

— Tak, towarzyszu dyrektorze.

— No to świetnie. Zostawcie go u mnie w Sekretariacie i możecie wyskoczyć na miasto pozalać swoje sprawy. A za godzinę się spotkamy. Dobrze?

Borowy kiwnął głową na znak zgody, a dyrektor ruszył pośpiesznie w labirynt korytarzy. Nagle Borowy, który skierował się do wyjścia, posłyszał za sobą odgłos kroków. Obejrzał się. Zobaczył dyrektora, który widocznie zawrócił.

— Chwileczkę, towarzyszu Borowy — wołał idąc ku niemu. — Dajcie mi wasz projekt, podrzucę go tymczasem do Inwestycji. Warto, by dyrektor Jankowski zaznajomił się z nim przed naszą dyskusją.

Borowy wyjął spod pachy teczkę i szarpnął błyskawicznie zamek.

— No, dawajcie, dawajcie — niecierpliwił się mężczyzna z blizną. — Bo spóźnię się przez was na konferencję...

Ale błyskawiczny zamek nie ustępował. Borowy nerwowo ciągnął za suwak, rwał, mruzczał pod nosem przekleństwa. Nic nie pomagało. Teczki nie mógł w żaden sposób otworzyć.

— Ale się zaciął, do jasnej cholery — zaklął wreszcie na głos.

Dyrektor niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

— Nic z tego — stęknął zdenerwowany Borowy. — Idźcie, dyrektorze, na konferencję, a ja skoczę tymczasem na miasto i może gdzieś mi otworzą tę przeklętą teczkę.

Mężczyzna w flanelowym ubraniu skrzywił się kwaśno. Sięgnął po teczkę.

— Pozwólcie, może ja spróbuję.

Zamek błyskawiczny kpił sobie jednak ze wszystkich prób i wysiłków. Na twarzy dyrektora pojawił się wyraz rozczarowania:

— No, to w takim razie do zobaczenia za godzinę.

Po chwili Borowy siedział już na kanapie w hallu. Delikatnie i spokojnie manipulując suwakiem otworzył wreszcie teczkę.

„Ale się ośmieszyłem — pomyślał z żalem. — Ładne wyobrażenie będzie miał o mnie ten Drzewiecki...”

Skwaszony wstał i udał się na poszukiwanie kolegi, o którym wiedział, że od niedawna pracuje w ministerstwie.

Godzina upłynęła mu na pogawędce jak z białą strzelą. Nie zamykając już teczki udał się ponownie na czwarte piętro i wszedł do Sekretariatu.

— Czy dyrektor Drzewiecki wrócił już z konferencji? — zapytał siedzącej za biurkiem sekretarki.

— Z konferencji? — zdziwiła się młodzieńka szatynka o zadartym nosku, którą specyły duże rogowe okulary. — Dyrektor Drzewiecki od rana nigdzie nie wychodził.



Rys. St. Kopf

Borowy spojrzał na nią z niedowierzaniem i poczul niepokój.

— Byłem na dzisiaj wzywany do dyrektora Drzewieckiego. Nazywam się Borowy.

— No, to was zamelduję — zgodziła się niechętnie sekretarka. — Chociaż nie wiem nic o tym, że dyrektor was na dziś zamawiał.

Po chwili wyszła już z gabinetu i powiedziała krótko:

— Proszę...

Inżynier Borowy stoi w drzwiach i nie wierzy własnym oczom. W pierwszym odruchu chce się cofnąć. To chyba pomyłka. Nie. Sekretarka wie przecież dobrze, kto w ministerstwie zajmuje stanowisko dyrektora Departamentu Techniki i nazywa się Drzewiecki.

Za dużym orzechowym biurkiem, ustawionym w rogu gabinetu, siedzi siwy mężczyzna o szczupłej twarzy i rozmawia przez telefon. Ręką wskazuje Borowemu fotel naprzeciw siebie. To dyrektor Drzewiecki. A tamten? Mężczyzna z blizną na policzku?

W głowie roją mu się skłębione myśli. Powoli zaczyna kiełkować w mózgu straszliwe podejrzenie.

„Mężczyzna z blizną wiedział dobrze, że przyjechałem do Warszawy ze swoim projektem — rozważa gorączkowo. — Wiedział, chociaż nie jest dyrektorem Drzewieckim. Znał dzień i godzinę, kiedy mam się stawić. Jakim sposobem? A sekretarka Drzewieckiego nie była uprzedzona o tym, że zostałem wezwany na konferencję...”

Borowy czuje, że coś dławii go w gardle. Drżącymi rękami rozluźnia krawat i rozpina kołnierzyk.

„A więc telegram, który przyszedł do fabryki, został nadany przez mężczyznę z blizną albo przez jego czarniawego pomocnika, którego tytułował inżynierem. Ale w jakim celu?”

W tym momencie Borowy uprzytamnia sobie zupełnie jasno, jaki cel mógł mieć człowiek z blizną. Zimny pot zaperlił mu się na czole. Kontury przedmiotów osnuwają się lekką mgiełką i zamazują, niczym na świeżo namalowanym obrazie, po którym przejechał ktoś gąbką. Wolnym krokiem zbliża się do biurka i kieruje się w stronę fotela.

Teraz wie już wszystko. Został po prostu zwabiony wraz z projektem do Warszawy. Dwaj współpracownicy weszli w oznaczonym dniu do ministerstwa i czekali na niego przed drzwiami dyrektora Drzewieckiego.

„Ale jak się tu dostali? — przemknęło mu przez myśl. — No, mogli znaleźć jakiś pretekst!” — znajduje zaraz odpowiedź.

Ministerstwo, korytarz i drzwi opatrzone tabliczkami, na których widnieją nazwiska dyrektorów departamentów i naczelników wydziałów, urzędnicy snujący się z papierami w ręku — to wszystko stanowiło dekorację potrzebną do odegrania krótkiej scenki. Tak. Krótkiej, mocno ograniczonej czasem.

„Nie bez powodu mężczyzna z blizną tak się spieszył na konferencję” — uświadamia sobie Borowy. — Wystarczyłaby mała psychologiczna gierka i oddałbym w ręce wroga owoc mojej rocznej pracy...”

Borowy czuje, jak robi mu się słabo. Ciężko siada na fotelu przy orzechowym biurku.

„Co za szczęście, że zaciął się zamek — myśli i ociera chustką pot z czoła. — Poczciwy zamek. Przecież nie mogłem żądać, by człowiek znajdujący się w ministerstwie, stojący przed drzwiami dyrektora Departamentu Techniki, którego ktoś tytułuje dyrektorem, legitymo-

# DWIE FRANCJE

JAN ALFRED SZCZEPAŃSKI

**P**OLSKA twórczość dramatopisarska posuwa się jak tramwaje w Warszawie — po trosze stadami. Miała okres sztuk produkcyjnych — lepiej je nazywać środowiskowymi; przekonujące apele o włączenie się dramatopisarzy w nurt współczesnego życia były ich siewem. Festiwal Polskich Sztuk Współczesnych — żniwem. Pewne niepowodzenia festiwalowe spowodowały zakłócenie ruchu. Dramatopisarze odwrócili przeważnie wzrok od dnia dzisiejszego i skierowali go ku tematyce historycznej. Wzbrała fala sztuk z dziejów onegdajszych, przed-

wczorajszych i wczorajszych. Niebawem dołączyła się do nich grupa sztuk wprowadzających się mniej więcej współcześnie, ale z reguły poza Polską. Są to sztuki antyimperialistyczne. Pod patronatem „Niemców” Kruczkowskiego, a później „Zwykłej sprawy” Tarna powstało sporo sztuk, zajmujących się tym tak ważnym współcześnie frontem walki o pokój. Napisali sztuki antyimperialistyczne Gruszczyński, Broszkiewicz i Gotesman, Tarn („Ortega”), Jurandot, ostatnio Makarczyk...

Do tego rodzaju utworów dołączyła również swą cegiełkę Krystyna Berwińska, młoda autorka sztuki-reportażu w 7 obrazach pt. „Proces”.

Akcja „Procesu” dzieje się we współczesnej Francji. Zgnitym, skłóconym wobec silniejszego zaoceanicznego patrona, ale butnym i brutalnym wobec ludu Francji imperialistom, frymarzącej państwem kosmopolitycznej burżuazji — przeciwstawia Berwińska ludzi z Komunistycznej Partii Francji, partii patriotyzmu, walki o niepodległość i pokój.

Jan Wieniec, polski emigrant-górnik i komunist, zabił w okresie okupacji, z wyroku Ruchu Oporu, pewnego Francuza-zdrajcę, zausznika gestapo. Teraz, po wojnie, ojciec szpiega — właściciel fabryki — i cała rodzina ukaranego nikczemnika oskarżają Wienca o zabójstwo z przyczyn osobistych. Oskarżenie podchwytuje prokurator i jego mocodawcy — chodzi o rzucenie cienia na Ruch Oporu, a zarazem o przewrządzenie innych politycznych pieczeni. Fabuła zmierza do wielkiej sceny sądu, która Wienca zmienia z oskarżonego w płomiennego oskarżyciela i która staje się rozprawą z burżuazją francuską. Wyrok jest przesądzony i z góry gotowy; przeciw burżu-

azyjnej komedii sądowej powstaje jednak lud Paryża, demonstranci wdierają się na salę sądową i zapowiadają zwycięstwo prawdziwej, ludowej sprawiedliwości. Ten finał jest zarówno przekonujący i słusznie optymistyczny, jak ujęty w zręczny, efektowny skrót sceniczny.

To główny wątek. Ale jest i drugi, nie mniej ważny: obraz przemian duchowych burżuazyjnego liberała i jego drogi — jeśli nie do komunizmu, to w każdym razie do czynnego włączenia się we front obrońców pokoju. Adwokat Despeaux ma przekonania radykalne, a przyjaciółkę pracującą w wywiadzie. Tę pannę Magdalene przytrzymują na szpiegowskiej robocie w Polsce, właśnie w tym samym czasie, gdy Despeaux ma bronić Wierca. Jak postąpić? Zwycięża poczucie etyki i politycznej słuszności. Złośliwie zatrzymany, przybywa Despeaux na proces swego klienta późno, lecz nie za późno.

Sztuka napisana przed paru laty, w okresie haniebnych prześladowań i wysiedleń demokratycznych emigrantów polskich przez antyludowe rządy francuskie, i fabularnie zaczepiona o głosny w owym czasie proces górnika Kabacińskiego — zabrzmiiała nową, tragiczną aktualnością i słusznie sięgnęła po nią parę teatrów polskich. Niestety, premiera „Procesu” w Teatrze Polskim we Wrocławiu stała się próbą odpowiedzi na pytanie: ile procent dopisków reżyserskich wytrzymać może utwór sceniczny? Okazało się, że nie za wiele: rozbudowane nadmiernie widowisko wrocławskie oceniono jako „przedobrze”, przeładowane, nużące, a przez to i politycznie osłabione.

W Warszawie zagrał „Proces” Teatr Powszechny w reżyserii Karola Borowskiego. Uwydatnił on faktograficzny, reportażowy, poniekąd plakatowy charakter utworu, na który wskazują slogany we często zdania w ustach osób działających; przez lekceważenie momentów psychologicznych i troskę o deklaratywne wyłożenie tez politycznych, nasilenie akcji publicystyką — nie pozostawił widzom żadnego marginesu na domysł, a aktorom na wygranę podtekstu (bo podtekstu w sztuce brak). Reportażowa jest też budowa sztuki, pozwalająca dowolnie wprowadzać na scenę i wyprowadzać ze sceny najrozmaitsze osoby, zawiązywać i porzucać poszczególne wątki.

Taka sztuka jest trudna do jednolitego opracowania reżyserskiego i nie dziw, że Borowski — mimo całego swego doświadczenia — puścił luzem niektóre sy-



„Proces” K. Berwińskiej — obraz I. Z. Wojdan w roli dziennikarza Mortiera.

tuacje i dopuścił do pewnych omyłek aktorskich. Ale w ostatniej wielkiej scenie, zamykającej sztukę i wypowiadającej ją ideologicznie, okazał Borowski wiele inwencji i z materiału trudnego, grożącego najrozmaitszymi pułapkami, stworzył obraz zwarty, pełen napięcia, wytrzymany scenicznie, mobilizujący ideowo.

Myśl autorki i koncepcję reżysera wcielają aktorzy Teatru Powszechnego w nierównym stopniu. Mieczysław Serwiński jako Jan Wieniec ma swą wielką scenę na sali sądowej: ostatnie słowo wypowiada z siłą przekonania i chwytającą za serce żarliwością. Kazimierz Wilamowski jako adwokat na rozdrużu porusza się wciąż na rozdrużu pomiędzy Despeaux-ślamazarnie wahającym się a Despeaux-energicznie zdecydowanym. Dwie kobiety wokół niego, zakochaną córkę prokuratora i kochaną dziennikarkę-szpiega grają Barbara Stępniańska i Ewa Pachonka: szkoda, że autorka kazała Magdalenie Anfiron wystąpić w sytuacji, w której ta rzekomo wytrwała szpiegówka demaskuje się przed wszystkimi, z wyjątkiem osób przebywających na scenie. Komunistę-dziennikarza gra Zygmunt Wojdan, a komunistę-inżyniera Jerzy Tkaczyk, i wierzy się w ich ideowość. Natomiast jako kanalia-prokurator naciska Juliusz Łuszczewski pedały, wali w klawisze i dmie w puzon; ale i on ma swoją wielką scenę, gdy na przewodzie sądowym wygłasza zaigane, kabotyńskie przemówienie „w obronie honoru Francji” (burżuazyjnej). Jego agenta gra wyraziście Norbert Nader.

Z innych ról podkreślić trzeba bardzo dobrze, sugestywnie, a z umiarem narysowaną sylwetkę oskarżonej o szpiegostwo obywatelki Vietnamu Mi Ja-sun (Maria Garbowska) oraz oblesną figurę ojca gestapowskiego szpiega (Czesław Byszewski).



Scena w sali sądowej. Jana Wierca gra Mieczysław Serwiński, w roli jego obrońcy — Bronisław Orlicz.

Dokończenie ze str. 15

wał się, kim jest naprawdę. To byłoby niepoważne...”

W tym momencie olśniewa go myśl, że człowiek z blizną właśnie na to liczył. To był jego główny atut.

Borowy czuje się jak balon, z którego wypuszczono powietrze. Całą siłą woli zbiera w garść roztrzęsione nerwy. Dyrektor Drzewiecki kończy rozmowę. Borowy ukiada sobie w głowie to, co za chwilę będzie musiał opowiedzieć.

Wtem otwierają się grubo obite brązową ceratą drzwi gabinetu i ktoś wchodzi szybko do pokoju. Dyrektor Drzewiecki odkłada słuchawkę. Do biurka zbliża się mężczyzna z blizną na policzku. Borowy podrywa się, jakby ujrzał jadowitą kobra.

— Siedźcie, siedźcie — mówi przybysz. — Chyba nie zdążyliście jeszcze zacząć dyskusji z dyrektorem Drzewieckim nad waszym projektem?

— Nie, dopiero przed chwilą sekretarka zameldowała mi inżyniera Borowego — wtrąca się sływy mężczyzna o szczupłej twarzy. — No, ale się jeszcze nie znamy — dodaje po chwili, wyciągając rękę. — Jestem Drzewiecki.

Borowy jak we śnie ściska podaną dłoń i uśmiecha się błodo.

— A to mój zastępca, dyrektor Kowalski — wyjaśnia wskazując na mężczyznę z blizną.

— Zdążyliśmy się już poznać na korytarzu — mówi wicedyrektor Kowalski. — Tylko że nasz wynalazca jakoś gorzej wygląda niż przed godziną... Może źle się czujecie, inżynierze? Co?...

\* \* \*

Kiedy Borowy wychodził z ministerstwa, wartownik odebrał od niego przepustkę i zasalutował. Borowy już zmierzzał do wyjścia, kiedy nagle zatrzymał się i podszedł do wartownika.

— Słuchajcie, zapomnieliście sprawdzić godzinę, o której wyszedłem. To też bardzo ważna rzecz.

Zdumiony wartownik wytrzeszczył nań oczy.

— Macie rację, obywatelu...

Ale Borowy już nie słyszy odpowiedzi. Zamyślony wychodzi przed gmach ministerstwa i stoi chwilę. Podnosi głowę i spójrzawszy na czysty błękit nieba oddycha z ulgą pełną piersią. Z parkanu, którym ogrodzona jest budowa nowego domu, biją w oczy czerwonią plakatową farbą dwa słowa: „Bądź czujny”.

JERZY ŻUKOWSKI

## ŚWIAT przypomina

### Upadek Opery Warszawskiej

W związku z niedawnym otwarciem nowoprebudowanego gmachu Warszawskiej Opery warto przypomnieć z reakcyjnego skądinąd plama poznańskiego „Kultura Polska” ze stycznia 1939 roku artykuł o tejże operze przed wojną. W artykule tym pisano między innymi:

„Opera Warszawska jest problemem męczącym. Od 1931 r., tj. od chwili, gdy przestała być miejską, przechodziła głęboki kryzys i uzdrowienie jej napotykała na różnorakie trudności.

„Ani sfery urzędowe, ani opinia publiczna nie mają, niestety, ustalonego poglądu na sposób rozwiązywania tego problemu. Nie brak też zdecydowanych przeciwników Opery, traktujących ją bądź jako przeżytek, formę sztuki już przebrzmiałą, bądź — jako zbytek, na który na razie nie może sobie pozwolić nasz ubogi kraj.

„Trzeba przyznać, że do powstania poglądu o nieaktualności opery jako sztuki niewątpliwie przyczynił się niski poziom artystyczny ostatnich lat Opery Warszawskiej, skostniały szablon jej is-

totnie przebrzmiałych inscenizacji... Traktowanie Opery jako zbytku jest tak samo śluszne, jak negowanie potrzeby muzeów, galerii obrazów, koncertów symfonicznych itp. Różne przejawy kultury artystycznej są nie mniej ważne w życiu narodu niż szkolnictwo powszechne, dobra uprawa roli itp.

„Zresztą ta niechęć do teatru operowego jest w większości wypadków tylko pozą, która pozwala uchylać się od konkretnego rozwiązywania skomplikowanego problemu Opery Stołecznej...”

„Zalamanie się Opery Warszawskiej datuje się od roku 1931, gdy prowadzenie jej spadło na barki inicjatywy prywatnej, przy minimalnym w stosunku do potrzeb poparciu czynników i funduszy publicznych...”

Takie to były kłopoty w Polsce kulturalistycznej. Dziś wszystkie one zostały rozwiązane przez Polskę Ludową: Opera Warszawska rozkwitła jak i inne opery w kraju, jak i teatry, otoczone czułą opieką państwa, nie zdane na żadną „prywatną inicjatywę”.

# Mr. Graham WRACA DO WASZYNGTONU

JÓZEF SOLTYS

**W** KOŃCU maja br. na lotnisku w Srinagar panował niezwykle ruch: dziesiątki amerykańskich jeepów i kilka wytwornych limuzyn tarasowało przejazd. Przed budynkiem portu lotniczego zgromadził się wszyscy członkowie „misji mediacyjnej ONZ w Kaszmirze” (Amerykanie) oraz wysocy dygnitarze kaszmirskiego rządu, z premierem, szejkiem Mohammedem Abdullahem, na czele. O godzinie 11 ożrymi „Constellation” amerykańskiej linii lotniczej „Panamerican Airways” spłynął miękko na lotnisko. Z samolotu wysiadł wiecznie uśmiechnięty „latający ambasador kas pancernych”, niedoszły prezydent USA, Adlai Stevenson. Krótka wymiana słów powitalnych z premierem Abdullahem — i nadzwyczajny wysłannik prezydenta Eisenhowera odjeżdża do rezydencji amerykańskiego szefa „misji mediacyjnej ONZ”, Franka Grahama.

## KULISY SPORU

Podzielenie Indii na dwa wielkie, religijnie odmienne domnia — muzułmański Pakistan i hindusyczną Unię Indyjską stanowiło bardzo zżeczne posunięcie imperialistycznej polityki Wielkiej Brytanii. W obliczu rewolucyjnych przemian, jakie przyniosło zwycięstwo Związku Radzieckiego nad faszyzmem w czasie drugiej wojny światowej, brytyjskie sfery rządzące zdały sobie sprawę z tego, iż nie uda się im nadać utrzymać otwartej okupacji kolonialnej Indii. Totem Wielka Brytania opuściła oścajnie ten kraj, pozostawiając liczne zarzewia sporów i wojen, by móc je nadal wygrywać dla swoich politycznych celów.

Jednym z głównych ognisk niepokoju w Indiach stał się od pierwszej chwili problem Kaszmiru. Kraj ten, równy wielkością Rumunii, zamieszkały jest przez 4 miliony mieszkańców, z czego 77% stanowią muzułmanie. Ludność składa się z olbrzymiej większości z Kaszmirów, ludu pochodzenia hinduskiego, mówiącego językiem należącym do grupy indoeuropejskiej. Mieszkańcy zajmują się uprawą ryżu, kukurydzy oraz wypasem bydła na skalistych wyżynach.

Na pierwszy rzut oka problem Kaszmiru wydaje się bardzo skomplikowany: ponieważ 77% mieszkańców kraju wyznają islam, winien on być przyłączony do Pakistanu zgodnie z religijnym podziałem Indii; z drugiej jednak strony znaczna większość ludności — wraz z nominalnym władcą Kaszmiru, maharadzą Karan Singh, który jest wyznania hindusycznego — wypowiada się za przyłączeniem do Unii Indyjskiej. Przeciwdziałając się dążeniom ludności Kaszmiru, Pakistan powołuje się na argumenty natury gospodarczej, podkreślając, że w Kaszmirze znajdują się tamy regulujące stan wody rzek nawadniających pola pakistańskie.

Spór o Kaszmir od dawna byłby już zakończony, gdyby nie intrygi amerykańskich i angielskich imperialistów. Swego czasu londyński „Times” pisał otwarcie, iż celem polityki brytyjskiej jest „usamodzielnienie Kaszmiru, ekonomiczne odrodzenie tego kraju i rozwinięcie eksploatacji jego bogactw naturalnych” (podkr. nasze — J. S.). Jasne jest, że obok korzyści materialnych, związanych z wszelkiego rodzaju „rozwijaniem” krajów gospodarczo zacofanych,

„usamodzielnienie” Kaszmiru pozwoliłoby imperialistom trzymać w szachu zarówno Pakistan jak i Unię Indyjską. Nic też dziwnego, że zarówno angielscy, jak i amerykańscy imperialiści robili wszystko, aby zapewnić sobie panowanie w tym kraju. Amerykanie kopali dołki pod swymi angielskimi „przajaciami”, dążąc do całkowitego opanowania Kaszmiru i przekształcenia go w bazę strategiczną przeciwko Związkowi Radzieckiemu i Chinom Ludowym.

Dymisja i aresztowanie amerykańskiego sojusznika, b. premiera Kaszmiru, szejka Mohammeda Abdullahi, oraz porozumienie zawarte ostatnio między premierem Pakistanu, Mohammedem Ali i premierem Unii Indyjskiej, Jawaharim Nehru — stanowi dotkliwą porażkę Waszyngtonu oraz dowód, iż nie ma takiej sprawy spornej, której by nie można uregulować w drodze pokojowych rokowań.

## AMERYKAŃSKI „MEDIATOR”

W pałacyku mr. Grahama, malowniczo położonym nad wysokim brzegiem rzeki Dżilam (po angielsku — Ithelum), która tyle uroku nadaje „świętemu miastu” Srinagar, do późnych godzin wieczornych trwała konferencja, w której obok



„Lew Kaszmiru”, szejka Mohammed Abdullah.

gospodarza i Stevensona brali udział wyżsi urzędnicy „misji mediacyjnej”. Specjalny wysłannik Wall Street mógł być zadowolony. Dotychczasowe osiągnięcia amerykańskiej „misji ONZ” były doprawdy imponujące. Z górą rok trwająca wojna o Kaszmir między Pakistanem i Unią Indyjską doprowadziła do faktycznego podziału tego terytorium między oba domnia. Po zakończeniu działań wojennych, w styczniu 1949 roku, agenci imperialistyczni, głównie amerykańscy, rozmuchiwali nadal konflikt przy pomocy tzw. mediatorów z ramienia ONZ. Podczas gdy Delhi i Karaczi prowadziły niekończący się pojedynki dyplomatyczny o Kaszmir, do księstwa zdążyło zawitać kilka amerykańskich misji wojskowych.

Dwa lata „mediacyjnych” wysiłków Grahama doprowadziły do takiego zaostrzenia stosunków między Hindustanem a Pakistanem, jakiego nie notowano od czasu zawarcia rozejmu między tymi krajami. Rejon Gilgitu, w okupowanej przez Pakistan części Kaszmiru, przekształcony został w amerykańską bazę wojenną. Amerykańscy „kursanci” odbywający „praktykę” w akademii wojskowej w Quetta w Beludżystanie, coraz liczniej napływają do Srinagar, Muzaffarabad, Jammu, Leh... Wprawdzie w październiku 1951 roku zamordowany został w Rawalpindi Liakat Ali-Chan\*, ale za to obecnie Amerykanie mają swego zaufanego człowieka w samym Kaszmirze. Premier Abdullah będzie musiał sprowokować nowy konflikt wojenny między Pakistanem a Unią Indyjską, a wtedy Amerykanie potrafią już wprowadzić do Kaszmiru swoje wojska pod firmą wojsk Narodów Zjednoczonych.

## „LEW KASZMIRU”

Następnego dnia Stevenson rozpoczął narady z „Sher-i-Kaszmir”, lwem Kaszmiru — jak brzmiał oficjalny tytuł premiera Abdullahi. Wysłannik Wall Street nie owijał sprawy w baweknę: jeśli niemożliwe jest sprowokowanie wojny, która by przekształciła Kaszmir w drugą Koreę, należy dążyć do jak najszybszego przyłączenia kraju do Pakistanu. W ten sposób łatwiej też będzie stłumić narastający ruch narodowo-wyzwoleńczy w Kaszmirze — przekonywał Stevenson — a to prze-

\*) Premier Pakistanu, Liakat Ali-Chan padł ofiarą rywalizacji anglo-amerykańskiej. Liakat Ali-Chan, który w swoim czasie doszedł do władzy przy poparciu Anglii, ostatnio znany był jako przywódca proamerykańskich kół Pakistanu. Mordercą jego był emigrant z Afganistanu, Sayed Akbar, stary agent brytyjskiego wywiadu. Po zamordowaniu Liakat Ali-Chana, Sayed Akbar zastrzelony został natychmiast przez „nieznanego osobnika”. Intelligence Service ma wieloletnią praktykę w „likwidowaniu” swych, niepotrzebnych już agentów.



Amerykański „mediator” w Kaszmirze, Frank Graham, w rozmowie z politykiem pakistańskim Ismailem.

cież leży w interesie samego Abdullahi, jednego z największych obszarników w kraju. Abdullahi powoływał się wprawdzie na opór maharadży Karan Singha oraz na dążenia mas ludowych pozostania w granicach Unii Indyjskiej, ale obietnica pożyczki dolarowej, którą wysunął amerykański „przyjaciel”, szybko usunęła ostatnie wahania Mohammeda Abdullahi. Oba panowie szykowali się już do oblania wspólnego „interesu”, gdy do gabinetu wpadł komendant gwardii przybocznej premiera. Zanim przerażony agent zdolał wyksztusić słowo, z ulicy dobiegły potężne okrzyki tłumów, zebranych przed siedzibą premiera: „Jai Hind”, „Inquilab zindabad”, „Sher-i-Kaszmir murdabad” — Niech żyją Indie! Niech żyje rewolucja! Śmierć Lwu Kaszmiru!

Tego samego dnia Abdullah ruszył do ataku. W całym kraju rozpoczęły się aresztowania patriotów, równocześnie zaś na polecenie Abdullahi i przy czynnej współpracy Edgara Hoke — członka „misji mediacyjnej ONZ” i najbliższego współpracownika mr. Grahama — rozpoczęła się wielka akcja propagandowa, skierowana przeciwko Anglii i Unii Indyjskiej. Mr. Graham zacierał ręce: szanse brytyjskie spadły w Kaszmirze do zera. Raz jeszcze Waszyngton pogłębił brytyjskiego lwa. Zwycięstwo Amerykanów było zapewnione...

## MR. GRAHAM JEDZIE DO WASZYNGTONU

Nagle, 9 sierpnia, sardar-i-riasat (głowa państwa), maharadża Karan Singh, udzielił dymisji rządowi Abdullahi i mianował premierem Bakshi Gulam Mohammeda, który zajmował w zdymisjonowanym rządzie stanowisko wicepremiera. Abdullahi oraz jego najbliższy współpracownik, b. minister finansów Mir Afzal Beg, zostali aresztowani i oskarżeni o korupcję, nepotyzm i zdradę kraju. Na wieść o aresztowaniu „lwa Kaszmiru”, Edgar Hoke zorganizował demonstracje antyrządowe. Jak pisze kaszmirskie pismo „Hidmat” — „mnóstwo cudzoziemców, którzy nazywali siebie korespondentami, fotografami i obserwatorami ONZ, myśkowało po ulicach Srinagar i podlegało młodych ludzi, którym dawano pieniądze, do urządzania demonstracji, obrzucania kamieniami policji itd.”

Wypadki w Kaszmirze wywołały wielkie wrażenie w całym świecie. Francuska agencja AFP pisze: „Upadek Abdullahi stanowi porażkę Stevensona, niefortunne kandydata na stanowisko prezydenta USA. Stevenson zachęcał Abdullahi do wcielenia w życie swych planów. Nieco wcześniej ambasador USA w Delhi, George Allen, dwukrotnie odwiedził premiera Abdullahi w Kaszmirze, przy czym wizyty te miały miejsce w ciągu ostatnich dwóch miesięcy... Nowy premier uchodzi za osobę utrzymującą dobre stosunki z komunistami wchodzącymi w skład rządzącego w Kaszmirze ugrupowania „Konfederacja Narodowa”.

W kilka dni później ogłoszony został w Delhi komunikat o porozumieniu, zawartym między premierem Indii, Nehru, a premierem Pakistanu, Mohammedem Ali, w sprawie pokojowego uregulowania problemu Kaszmiru. Po opublikowaniu tego komunikatu, Mohammed Sadyk, przewodniczący Zgromadzenia Konstytucyjnego Kaszmiru, oświadczył: „Cały naród Kaszmiru z radością wita osiągnięte porozumienie. Jeśli chodzi zaś o plebiscyt, to lud nie zgodzi się ani na osobę admirała Nimitza (wyznaczonego przez Radę Bezpieczeństwa jako kontrolera), ani na żadnego kandydata wysuniętego przez blok anglo-amerykański”.

Następnego dnia mr. Frank Graham wezwany został do Waszyngtonu. Intrygi amerykańskich imperialistów zakończyły się porażką.



# DZIESIĘĆ DNI NA WROCŁAWSK

**P**IECHURZY i lotnicy, artylerzyści i czołgiści, marynarze i saperzy, żołnierze wszystkich rodzajów wojsk toczyli przez dziesięć dni zaciętą walkę o tytuł najlepszych sportowców Wojska Polskiego. Braterska i serdeczna atmosfera, jaka panowała na Spartakiadzie, jeszcze bardziej umocniła koleżeństwo wojskowe i przyjaźń bojową.

## Z KIJEM NA „ARMATĘ“

Na zakreślonym kwadracie ustawia się z pięciu drewnianych kłacków figury w kształcie tzw. raka, gwiazdy, armaty, listu itd. W odległości 13 metrów ustawia się pięcioosobowa drużyna, której każdy zawodnik zaopatrzone jest w 3 kije o wymiarach 80—100 cm. To wybijanka — gra popularna już w wojsku, ale prawie nieznana cywilom.

Gra polega na wybijaniu kijem, rzuconym z linii startowej, poszczególnych kłocków poza narysowany kwadrat. Jeżeli zawodnik wytrąci chociaż jeden z kłocków — ma prawo przybliżyć się na drugą linię startową, odległą o 6,5 metra od ustawionych figur. Każdy z zawodników dysponuje trzema rzutami. Łącznie więc każda drużyna, składająca się z 5 osób, ma 15 rzutów.

Zaczyna się od „artylerii“. Decydujący mecz o mistrzostwo Wojska Polskiego w konkurencji wybijanki pomiędzy zespołem O. W. Bydgoszcz i Marynarki Wojennej. Oficer Małychin z Bydgoszczy jest mistrzem w tej grze popularnej wśród żołnierzy, a mało znanej cywilom. Po celnym rzucie kija środkowy kłoczek figury zwanej „listem“ wylatuje. „List“ jest „rozpieczętowany“. Starszy szeregowiec Dziura podchodzi na bliższą linię startową. Trzema rzutami wybijają trzy klocki z narożników. Pozostał jeszcze w kwadracie jeden kłoczek, który dzieli Bydgoszcz od zwycięstwa. ZMP-owiec Ścisłowski ma jeszcze trzy rzuty. Pierwszy — nieudany: kij tylko musnął kłoczek. Młody zawodnik skupia całą uwagę. Celny rzut i ostatni kłoczek wylatuje z kwadratu. Bydgoszcz odniosła zwycięstwo.

W dniach 18 — 28 sierpnia br. trwały we Wrocławiu rozgrywki III Spartakiady W.P. W zawodach wzięło udział około 1.500 zawodników w jedenastu dyscyplinach sportu. W punktacji za okres letni I miejsce zajął O.W. Wrocław, w punktacji ogólnej za rok 1953 mistrzem Wojska Polskiego został O. W. Warszawa.



W miasteczku namiotowym uczestników Spartakiady już pierwszego dnia ukazała się fotogazetka. Z zainteresowaniem oglądają ją reprezentanci Marynarki Wojennej

## PRZEZ „ZAGAZOWANY“ TEREN

Na starcie warczą silniki 6 motocyklowych patroli. W patrolu — oficer-dowódca i trzech żołnierzy. Słońce praży niełaskawie. Kurz. Większość trasy terenowej, trochę polnych dróg i mały odcinek szosy. Na 170 kilometrów: teren „zagazowany“ — trzeba założyć maski i w nich pokonywać trudną piaszczystą trasę. Na 180 km patrol ustawia motory w parkingu i... rzuty granatem do przygotowanego leja, a dalej strzelanie

do tarcz. Oficer Pawłowski ze swoim patroliem: szeregowcami Kwaśniewskim Kuroczko i Marchlewskim forsuje teraz odcinek obserwowany. Maszyny podskakują, to zarywają się w piach. W dół — to znów w górę, a podeprzeć się nogą nie wolno. Ledwo przebrnęli i wjechali na równiejszą drogę — znów nowe trudności, nowe przeszkody. Na wzniesieniu betonowy bunkier. Warczą silniki ciągnąc mozolnie pod górę, by później na łeb na szyję pędzić między drzewami, po betonowych stopniach. Ale to już

koniec, meta tuż. Patrol O. W. Warszawa — wzór ambicji, hartu i wytrzymałości oraz koleżeńskiej pomocy — zwyciężył.

## WYLATUJE RZUTEK

Strzelanie do ruchomych celów wymaga ogromnej koncentracji i szybkiej decyzji. Na stendzie grupa zawodników, strzelają kolejno. Teraz oficer Wolny szykuje się do strzału, składa się. Rzuca krótką komendę: daj! Puler pociąga za rączkę zwalnicza. Zza krawędzi stendu wylatuje biały rzutek, skośnym lotem przecina zielone tło drzew. Bucha strzał i rzutek rozlatuje się na drobne kawałki. Twarz oficera Wolnego rozjaśnia się. To jego ostatni strzał z serii — i celny. Dał mu rekord Wojska Polskiego — 92 trafienia na 100 rzutków.

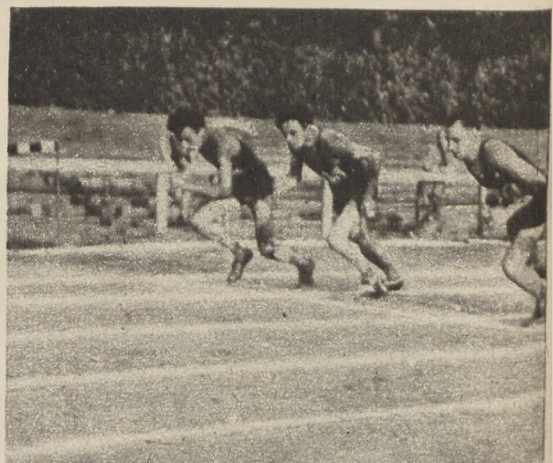
## KOLEKTYW ZWYCIĘŻA

Po tytuł mistrza Wojska Polskiego wyrusza na 200-kilometrową trasę 30 kolarzy. Przed nimi pierwsza brama powitalna. Miasteczko Groblice wita gorąco zawodników. Gromadka małców ustawiła się szpalerem, wrzawą i oklaskami pozdrawia mknących żołnierszych sportowców. Ostрым szpurtem wychodzi do przodu Wójcik, a za nim Bugalski z O. W. Warszawa... Ten nowy odcinek gładkiej nawierzchni to dzieło rąk robotników drogowych, którzy specjalnie na Spartakiadę W. P. przyspieszyli pracę, a teraz stoją na skraju i powiewają czapkami. Mknie wyścig zielonym tunelem drogi. PGR Zieloniec, gdzie nawet szosa przystrojona kolorowymi łańcuchami z bibułki. W Bierutowie transparenty: „Lud z Wojskiem — Wojsko z ludem“. Tu lotny finisz wygrywa Wójcik, za nim młody lotnik Bedyński i Bugalski. Ta trójka przyspiesza oddalając się od reszty. Na mecie pierwszy Wójcik, a drużynowo ZMP-owski zespół O. W. Warszawa: Bugalski, Królikowski, Trochanowski, Mazurek. Zgrany kolektyw zwycięża.

## ŻOŁNIERZE W RĘKAWICACH

Młodziutki marynarz Kata walczy z rutynowanym Kaźmierczakiem, wielokrotnym reprezentantem Polski. Doświadczony, rosyjski Kaźmierczak stara się wykorzystać swą przewagę techniczną. Ale młody marynarz „nurkuje“, wchodzi do zwarcia, bije szybko, mocno i celnie. Jako mały chłopak Kata bił się z rówieśnikami na pięści. Z prawdziwym boksem zapoznał się dopiero w wojsku, a dziś można go już śmiało zaliczyć do czołowych pięściarzy w kraju. Na Spartakiadzie pokonał nie tylko reprezentanta Polski, Kaźmierczaka, ale i starego rutyniarza Kempę z O. W. Kraków.

Marynarz Kata to nie tylko dosko-

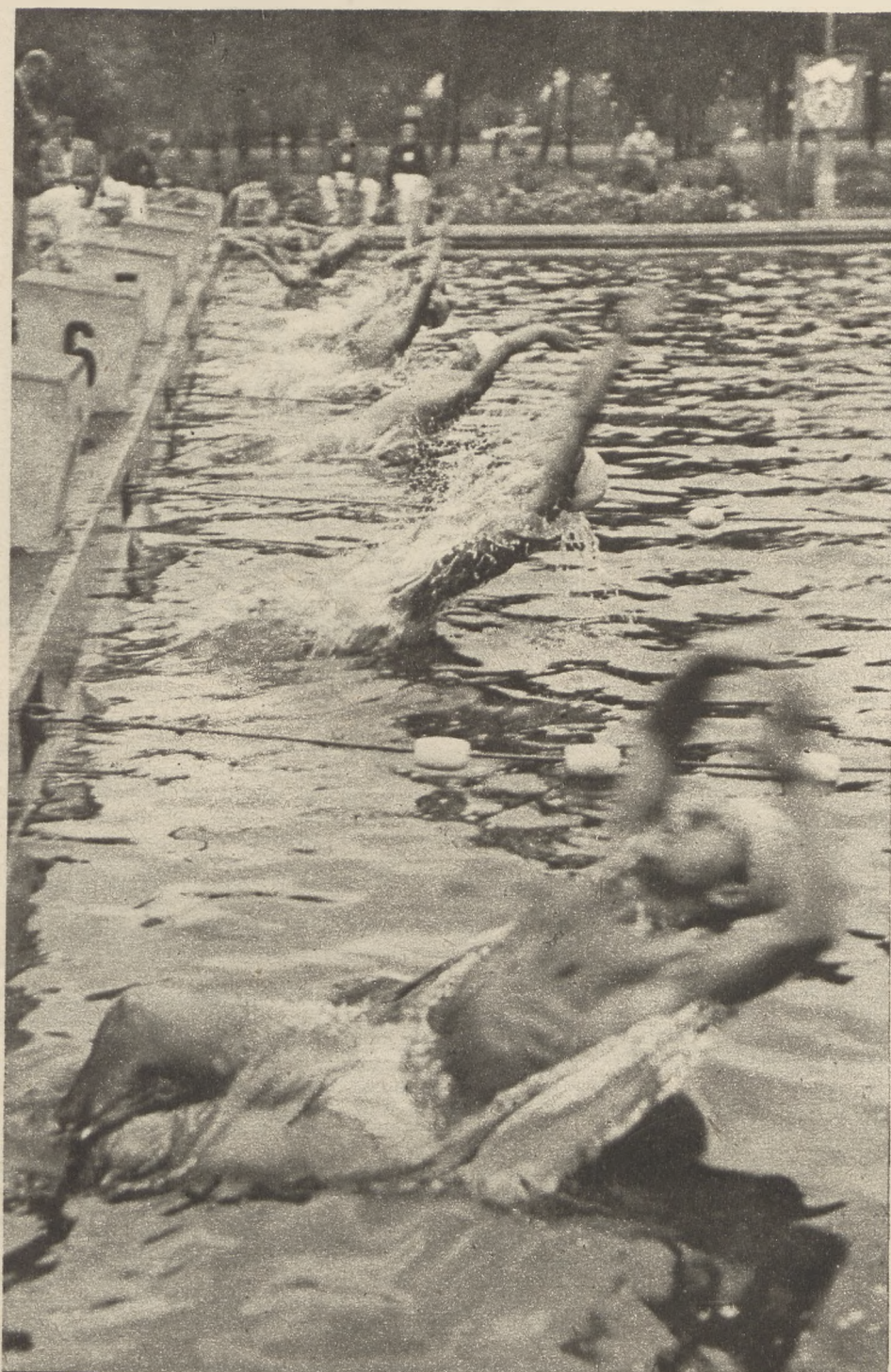


Wystartowali 800-metrowcy. Na metę pierwszy przybył starszy szeregowiec Żbikowski

W CZASIE ZMAGAŃ ŻOŁNIERZY-SPORTOWCÓW MIESZKAŃCY WROCŁAWIA SZCZELNIE WYPEŁNILI TRYBUNY



# ICH STADIONACH



W wyniku zaciętego pojedynku żołnierzy-pływaków padł nowy rekord Wojska Polskiego na 200 metrów stylem grzbietowym. Ustanowił go Boniecki czasem 2.43,8.

nały bokser, ale i przodownik wyszkolenia bojowego i politycznego.

## SPORT — ŚRODKIEM WYCHOWANIA ŻOŁNIERZY

11 rekordów Polski, 24 rekordy WP — oto wspaniały plon III Letniej Spartakiady. Żołnierze-sportowcy godnie uczcili X rocznicę powstania Ludowego Wojska Polskiego. Jak powiedział bowiem na otwarciu igrzysk Wiceminister

Obrony Narodowej, gen. broni Stanisław Popławski: „Sport w Wojsku Polskim stał się nieodłączną częścią wyszkolenia bojowego, jednym z najważniejszych środków wychowania żołnierzy. Takie czynniki, jak siła, zwinność, wytrzymałość, szybkość, odwaga i zdecydowanie oraz szereg innych cech moralnych i fizycznych żołnierzy decydują w poważnym stopniu o podnoszeniu poziomu zdolności bojowej wojsk“.

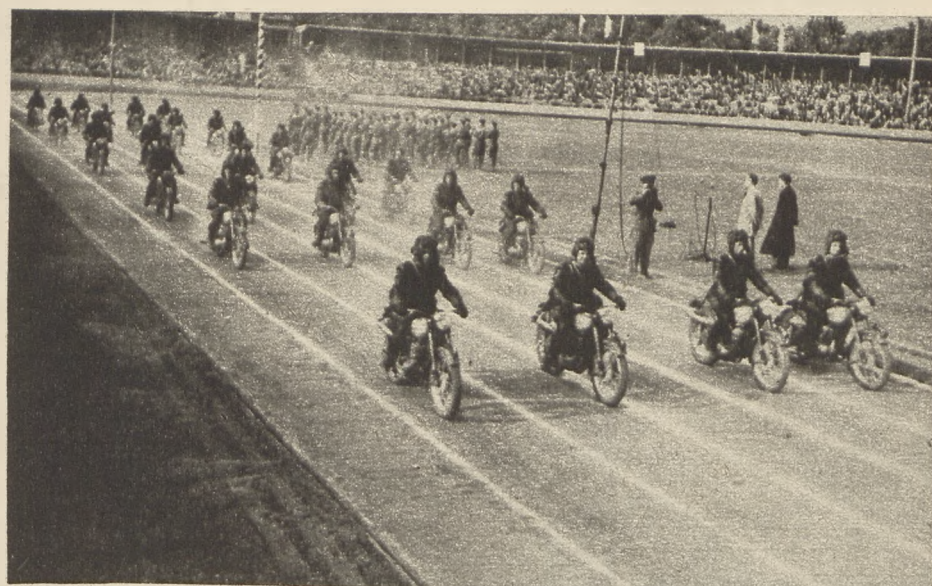
KRYSZYNA WOLSKA



Defilada uczestników Spartakiady. W loży honorowej Wiceminister Obrony Narodowej, gen. broni Stanisław Popławski wraz z dowódcami Okręgów Wojskowych.



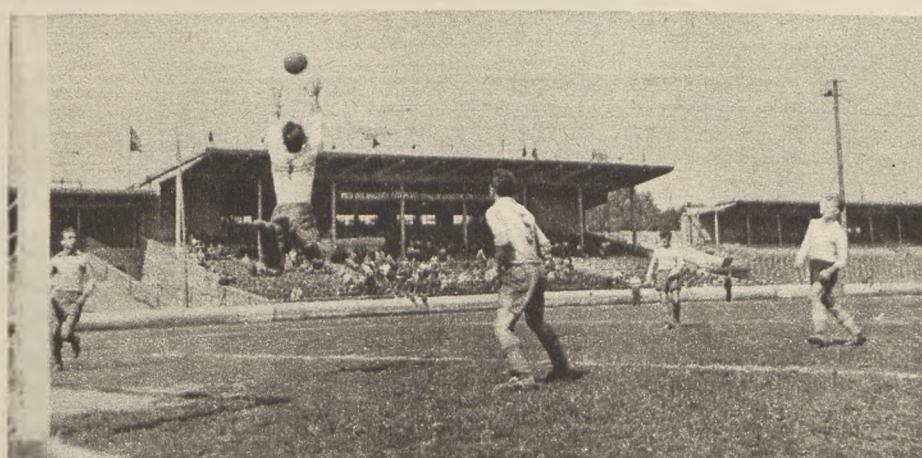
Nagrody dla zwyciężczych zespołów na III Spartakiadzie WP. Umieszczone one były przed wejściem do miasteczka namiotów na wrocławskim Stadionie Olimpijskim.



Defilują patroly motocyklowe, które wysoki poziom przygotowania technicznego i kondycyjnego wykazały później, w tzw. motocrossie i w raidzie patrolowym.



— OW Bydgoszcz. Utalentowany żołnierz ustanowił nowy rekord WP osiągając dobry czas 1.52,3.



W piłce nożnej tytuł mistrza Wojska Polskiego zdobyła drużyna OW Kraków przed OW Bydgoszcz. Piękna parada bramkarza Bydgoszczy i... gola nie ma!



6 rekordów Polski, 12 Wojska Polskiego ustanowili na III Spartakiadzie strzelcy.

# GORĄCA WIEŚ

## AMBINANITELO

**T**RACAM nauczyciela i szepcę zgorzony:  
— Natriko chyba zgłupiał!...  
— Nie zgłupiał! Pięknie śpiewa — zachwyca się Ramaso.

— Nie rozumiem.  
A Natriko ciągnie:

Gdy vazaha kichnie nosem w Ambinanitelo,  
Gubernator w Tananarywie drży ze strachu,  
A rzeka Amtanambalana cofa się pod górę  
I wszystkie dziewczyny czują się matkami,  
Z wyjątkiem tych, które są koślawe.  
Czy wiecie, co znaczy wielki nos vazahy?  
Kto je słodkie suchary i piodzi złote zęby,  
Nie potrzebuje ust dziewczyn, ej!...  
Vazaha ma olbrzymi, ostry nos,  
I jego dzieci będą miały wielki, piękny nos!...

Rodzi się tej nocy niezwykle koszmar: nosowa orgia, nosowy upiór, rozpasanie nosa. Natriko szaleje moim nosem, upaja się nim, innych upaja nosem. Rywal Zarabe chce na gwałt zniszczyć widmo pięknego nosa i przeciwstawia mu gryzione usta, rozdarte piersi, ohydę złotego zęba — na nic: przegrywa. Nos prześciga wszystko, jest władczy, sprężysty, urodziwy, przekonujący i olbrzymi, olbrzymi. W końcu milknę nawet i Natriko, sam oczarowany potęgą nosa.

Nagle krótką ciszę przerywa najmłodsza z dziewczyn, dwunastoletni mniej więcej podłotek, i śpiewa lęklwym głosem gdzieś na szarym końcu:

— Chcę urodzić dziecko z wielkim nosem, ej!...

Inne dziewczyny buchają rozdrażnionym śmiechem, i naraz jak burza uderza gromki chór budząc ze snu całą dolinę:

— Chcemy dzieci ze złotym zębem, eej!

Piękne są dzieci ze złotym zębem, eej!...

Staram się odkryć, czy wśród tańczących jest Velomody. Z pewnością gdzieś tam płasza, ale nie dostrzegam jej.

Nie wyzyskałem tej nocy. Nie podjąłem rzuconego mi wyzwania i nie zagarnąłem ani Beniaczehiny, ani Rasoy, a potem było za późno, nastał silny blask i nadszedł dzień widny, trzeźwy, upalny i rozbijający. W taki dzień drobne ptaszki sui, cukrzyki podobne do kolibrów, migają chyżo w słońcu jak zielone błyskawice, lecz sprawy ludzkie toczą się ciężko jak zastygłe wody.

W sprawach ludzkich nie ma tu ani lśniących wzlotów, ani gwałtownych rozstrzygnięć. Słońce niweczy wszelkie nocne zwyczajstwa i dopiero następna noc i następny księżyc rozjątrząją od nowa walkę.

Walka trwa. Zarabe wciąż śpiewa przeciw mnie. Lecz śpiewa również i Natriko. A Natriko śpiewa co noc coraz lepiej i coraz pewniej zwycięża.

Więc gdy odgłosy śpiewów budzą mnie teraz wśród nocy, już nie lękam się ich tajemnicy. A jednak coś jeszcze wisi w powietrzu nie wyjaśnione, nie poskromione, nowy, inny niepokój wyłania się z nocnych oparów doliny i trudno mi potem zapaść w sen: odległe bicie bębna nieznacznie, aż boleśnie przypomina przyspieszone bicie własnej krwi.

### 20. WIELKIE KABARY

**S**TALO SIĘ: podnoszę otwarty bunt przeciwko wsi. Obrzydły mi jej chytre półsłówka i półzyczliwości, jej zdradliwe unikanie wzroku i rzucanie na nas czarów. Chcę prostej drogi: chcę nareszcie przyprzeć do muru niechętnych nam mieszkańców Ambinanitela i spojrzeć im jasno oko w oko.

W stosunku do nas, dwóch białych ludzi, powstały we wsi dwa obozy. Z jednej strony szczerzy i niezawodni przyjaciele, jak nauczyciel Ramaso, jak sędziwy Dżinarivelo, jak Berandro, Tamaso i Manahitsara, znawca starych legend, z drugiej strony nieprzyjazny wciąż sołtys Bezaza i wielu jego krewnych z rodu Cyjandru. Bezaza, jak przyrzekł, wysłał co prawda swego syna Zarabe gdzieś na odległe ryżowisko, ale szeptała wojna



A Natriko śpiewa coraz lepiej...

przeciw nam bynajmniej nie wygasa. W niektórych dniach odnosimy wrażenie, że złośliwa fala niechęci zalewa całą wieś i wdiera się nawet do rodzin oddanych nam przyjaciół, budząc nieufność do nas w sercach ich własnych żon, dzieci i — wnuczek.

Od kilku dni odurzałem się drapieżnością modliszek. Wychodzi mi to widocznie na dobre. Z tych doświadczeń zrywam się zawzięty jak osa i gotowy poruszyć niebo i ziemię, a przede wszystkim Ambinanitelo. Postanawiam doprowadzić sprawę do wałnego rozstrzygnięcia.

Chińskiemu piekarniowi w Maroantsetra każę przygotować dwa wory słodkich sucharów, sprowadzam od innego Chińczyka kilka butelek przedniego rumu i pewnego popołudnia zwołuję do siebie wielkie kabary. Kabary to publiczne zebrania. Przypilnowuję, ażeby przybyli do mnie nie tylko przyjaciele, lecz i sołtys Bezaza, i wszyscy ważniejsi z rodu Cyjandru, zarówno starzy, jak młodzi.

Zapraszam oczywiście także wójta Rajaonę. Rajaona nie może pozbyć się swej natury lisa i chytrego dyplomaty. Właściwie jest mi życzliwy, ale w taki sposób, że wciąż powstaje we mnie uczucie niepewności. Zauważę, że odjechał już lekarz Ranakombe i nie będzie na zebraniu. Odważny i otwarty Howa stałby na pewno po mojej stronie. Rajaona, widząc poważne przygotowania do kabary, stara się wywiedzieć, do czego zmierzam.

— Chcę na ostrzu noża postawić sprawę przyjaźni wsi do nas! — wykładam szczerze swe zamiary.

— To będziecie mieli wielką przemowę?

— A będę!

— Z przyjemnością posłużę wam za tłumacza.

— Dziękuję, chętnie przyjmuję waszą pomoc. Co prawda prosiłem już do tego Ramaso, ale co dwóch to dwóch.

Wies domyśla się nadchodzącej burzy. Śledzi mnie z daleka podejrzliwiej niż zwykle i zachodzi w głowę, dokąd może doprowadzić podniecenie białego człowieka, żyjącego od tylu tygodni w żarliwej dolinie. Wies rozważa, jakby rozbroić mój gniew. W dniu wyznaczonym na kabary od samego rana znosi mi płony ziemni, ogromny stos darów. Kokosy, ryż, owoce drzewa chlebowego, banany, papaje, jarzyny, kury, jajka, trzcinę cukrową. Olbrzymia góra żywności piętrzy się na werandzie mej chaty, lecz nie dam się zbić z tropu. Chcę rozprawę doprowadzić do końca, do rostrzygnięcia.

Zaraz po obiedzie zaczynają schodzić goście. Jako jedni z pierwszych nauczyciel Ramaso i wójt Rajaona. Wkrótce brak stołków i ławek, więc przybyłe siadają na matach w kucki gdzie bądź w chacie. Sprawnie obsługuje ich kucharz Marovo przy pomocy Bogdana, podając każdemu kieliszek rumu i kilka sucharów. Wszyscy są zaciekawieni, co z tego wyniknie. Niewiele rozmawiają ze sobą, owładnięci lekkim niepokojem oczekiwania.

Przybycie sołtysa Bezazy wnosi ożywienie. Jeszcze czas na zagajenie kabary, bo czekamy na kilku maruderów, zatem Bezaza komunikuje najświeższe wiadomości z nadmorskiego rejonu Antalaha: doszło do dalszych zatargów między robotnikami małgaskimi a białymi plantatorami wanili. Są nowe aresztowania.

— Czy to prawda, że mój wnuk Razafy tam aresztowany? — pyta Dżinarivelo.

Razafy pracuje od wielu miesięcy na wybrzeżu.

— Tak słyszałem — odpowiada Bezaza.

Sołtys spogląda na starca z głęboką powagą, przez którą przenika cień współczucia. Po chwili wahania Bezaza podaje Dżinarivelowi rękę i oznajmia:

— Z naszej rodziny też uwieczono.

Uścisk dłoni tych dwóch wywołuje pewne poruszenie wśród obecnych. Patrzą na nich ze zdumieniem, jak

Robotnicy żyją z dnia na dzień i mają luźną tylko organizację...



gdyby podanie rąk kładło kres zastarzałej zwadzie między rodami Zanikawuku a Cyjandru.

— Podobno jednego z naszych zabili — woła ktoś pod ścianą.

— Nie, to plotka! — zapewnia wójt Rajaona.

— Przecież strzelano!

— Zgadza się. Strzelano, ale w powietrze, na postrach.

Korzystając z milczenia, jakie nastaje, pytam, o co właściwie chodzi w tym zatargu. Nauczyciel Ramaso tłumaczy mi półgłosem.

O mniej więcej sto kilometrów na północny wschód od Ambinanitela leży port Antalaha na wschodnim wybrzeżu wyspy, nad pełnym morzem. Na okolicznych wzgórzach znakomicie dojrzewa wanilia, owa szlachetna i cenna roślina z rodziny storczyków, podobna do lian, ogromnie popłatna, lecz wymagająca akuratannej pracy zarówno przy sztucznym zapyłaniu kwiatów, jak i skomplikowanym preparowaniu dojrzewających strąków. Bogate kompanie francuskie oraz prywatni biali przedsiębiorcy posiadają w Antalaha plantacje, na których zatrudniają wielką ilość krajowych robotników. Pracobiorców chronią osobiste umowy i ustawy kolonii pięknie brzmiące na piśmie, lecz na każdym kroku łamane z nikczemną bezwzględnością przez właścicieli plantacji.

Kilka miesięcy temu plantatorzy zaczęli obcinać samowolnie płace robotnicze i do połowy zmniejszyli dzienne porcje ryżu, należne robotnikom według umowy. Gdy poszkodowani zbuntowali się przeciw temu i zaprzestali roboty, lokalne władze, w sprzeczności z istniejącymi prawami, ogłosiły wszystkich za pobranych do przymusowej pracy publicznej i kazali im pracować na plantacjach teraz już za znikomym, groszowym wynagrodzeniem...

— Przymusowa praca dotyczy tylko robót publicznych o użyteczności ogólnej, a nie na prywatnych plantacjach, prawda?

— Oczywiście... tak mówi ustawa. Ale władze w Antalaha idą ręką w rękę z plantatorami, to jedna zgrana szajka, i mało dbają o ustawy.

— A nadrzędne władze tych kacyków lokalnych, na przykład w Tananarywie, nic na to?

— Chciejcie zrozumieć, vazaho, istotny cel posiadania kolonii: dobro jedynie kolonizatorów. Dopiero, gdy nadużycia w stosunku do tubylców dochodzą u nas do takich rozmiarów, że mogłby ucierpieć na tym ogólny interes kolonizatorów, na przykład w wypadku zbrojnego buntu, wtedy wkraczają władze przeciw nadużyciu...

Robotnicy plantacji w Antalaha, poddani rygorom przymusowej pracy, nadal burzyli się i doszło do pobicia kilku zbyt gorliwych dozorców. Wtedy władze wezwały pomocy wojska i przeprowadziły dalsze aresztowania chcąc wylapać i unieszkodliwić przywódców oporu. Doszło nawet do terroru fizycznego i zadawania tortur niektórym więźniom. W tej chwili panuje w Antalaha pozorny spokój, ale ludność jest rozgoryczona, masa ludzi siedzi w więzieniu, napięcie wciąż wielkie...

— Co sądzicie, Ramaso? Jak to się skończy?

— Jak się skończy? Jak zwykle dotychczas. Plantatorzy mają pieniądze i poparcie władzy, robotnicy żyją z dnia na dzień i mają luźną tylko organizację. Spór przegrają. Będą cieszyli się, gdy aresztowanych wypuszczą z więzienia, i przyjmą pracę na gorszych warunkach. Ale jedna rzecz ciągle tu narasta. To świadomość krzywdy...

Podczas gdy Ramaso tłumaczy mi te smutne sprawy, ostatni goście przychodzą do mej chaty. Dreczące wątpliwości budzą się we mnie. Na skutek zająć w Antalaha szczerp Betsimisarakana na pewno przeżywa ciężkie troski. Czy wobec tego wypada mi narzucać się mieszkańcom Ambinanitela ze swymi osobistymi bolączkami? W porównaniu ze zmartwieniem ludności, wydają mi się niki i samolubne. Więc może lepiej rozwiązać kabary i odroczyć je na czas dogodniejszy?

Z tych wątpliwości zwierzam się nauczycielowi Ramaso. On jest innego zdania. Kabary powinno się odbyć, gdyż to nie tylko moja osobista sprawa. Chodzi tu o moralną postawę wsi. Wiesz winna złożyć dowody swej dojrzałości, że umie szanować życzliwych, choć obcych ludzi, przybyłych jako przyjaciele. Właśnie to teraz doskonala sposobność, by napiętnować szczątki prostactwa i dawnych zabobonów.

— Nie dajcie się przy tym wywieść w pole — ostrzega Ramaso — ilością przyniesionych darów. Potrzeba wam przecież innych objawów gościnności!

Sądziłem, że wypadnie mi zagaic zebranie. Ubiega mnie w tym sołtys Bezaza. Głaszcze powoli ręką swe kędzierzawe włosy, nerwowo rozciera brode, na której ciemnieje słaby zarost, wreszcie powstaje namaszczony i odzywa się do mnie. W niezmiernie długiej i zawilej przemowie, pełnej barwnej kwiecistości i miodowych słówek, prosi mnie, bym jedząc to wszystko, co mi wieś przyniosła, odczuwał jej przyjaźń. Słowa, słówka, słóweczka.

Zjem, Bezazo, nawet i twój miód i zaspokoję głód żołądka. Lecz czy na tym kończy się twoja gościnność, ej? Nie, banany i kokosy już nie omamią mnie i nie powstrzymają mego rozpędu. Dość zabawy w ciuciubatkę.

Gościom moim sprawiam niemały kłopot. Sztuczek nauczyłem się od nich samych; na pomoc biorę pobliską górę Ambahimitaingo, górę Beniowskię. Rzucam na nią czar i siłą ściągam ją na dół w dolinę. Nagle w wyobraźni naszej cała ta bryła ziemi nabiera życia, zesuwa się na wieś, spada na umyśły mieszkańców, zapala ich fantazję i przytacza jak ciężki los. W los brązowego człowieka bezustannie wplatają się żywe części przyrody, ptaki, kameleony, lemury, drzewa, góry, rzeki. Teraz oto góra Beniowskię weszła do mej chaty i urzekła zebranych Malgaszów.

Balszy ciąg w następnym numerze

## SWIAT o tym wie!

### KTO FINANSUJE SZPIEGOW

Prawicowi przywódcy amerykańskich związków zawodowych nie ukrywają, bynajmniej swych powiązań z wywiadem i kontrwywiadem. Kiedy jednak ujawniono ich haniebną rolę w organizowaniu puczu 17 czerwca w Berlinie — próbowali się tego zaprzeczyć w żywe oczy. Warto więc może przypomnieć, co prasa amerykańska pisała kilka miesięcy temu o wodzach Amerykańskiej Federacji Pracy, AFL. Nowojorski „Daily News” z 16 marca 1953 donosił:

### AFL Sponsors Anti-Red Spy Ring in Berlin

By ART NOYES.  
(Special Correspondent of THE NEWS)  
Frankfurt, March 15.—The American Federation of Labor is sponsoring a spy organization in Berlin, it was disclosed here today.  
The AFL transmits approximately \$10,000 a month to the U. S. Central Intelligence Agency, which in turn passes the money on to a group called the Kampfgruppe (combat group).  
The Kampfgruppe has an overt information section whose function is to collect all facts concerning...

It also has a top-secret spy section, whose operations are known only to U. S. Intelligence.

### AMERYKAŃSKA FEDERACJA PRACY PATRONUJE ANTYKOMUNISTYCZNEMU OSRODKOWI SZPIEGOWSKIEMU W BERLINIE

W depeszy, nadesłanej z Frankfurtu nad Menem przez specjalnego korespondenta „Daily News”, Art Noyesa, czytamy:

„Amerykańska Federacja Pracy patronuje organizacji szpiegowskiej w Berlinie. Fakt ten ujawniono tu w dniu dzisiejszym.

„Amerykańska Federacja Pracy przekazuje miesięcznie około 10.000 dolarów Centrali Wywiadu Amerykańskiego (Central Intelligence Agency), która z kolei przekazuje te pieniądze grupie, zwanej Kampfgruppe (grupa bojowa).”

A owa „Kampfgruppe”, jak wynika z dalszego ciągu depeszy —

„ma również ściśle zakomspirowaną sekcję szpiegowską, której działalność znana jest jedynie wywiadowi amerykańskiemu”.

Krótko, jasno i wyraźnie.



W kampanii wyborczej Adenauera hasła rewizjonistyczno-odwetowe, skierowane przeciwko Polsce i naszym Ziemiom Zachodnim, odgrywają bardzo poczesną rolę. Zjazdy przesiedleńców, organizowane w Niemczech zachodnich, odbywają się w atmosferze gorączki szowinistycznej, rozpalanej przez agitatorów Adenauera.

Zjazd „Ślązaków”, zwolany ostatnio w Kolonii, przeobraził się w dziką hecę antypolską. Wciągnięto do niej młodzież a nawet dzieci. Kazano im paradować w pochodzie z transparentami, na których widniały herby i nazwy miejscowości polskich, oczywiście w zniekształconym brzmieniu. „Teschin”, „Loewenberg”, „Lublinitz”, „Warthenau”,

### NA WŁASCIWYM MIEJSCU

Mister E. G. Bright z Baltimore, stan Maryland, USA, znany jest jako właściciel firmy handlującej używanymi samochodami oraz jako wieloletni kandydat na stanowisko gubernatora stanu Maryland. Ostatnio okazało się, iż mr. Bright jest poza tym „naprawdę dobrym Amerykaninem”. W nagłym przypływie patriotyzmu mr. Bright wystawił naprzeciwko swojego sklepu „dwustukilogramowy pomnik senatora McCarthy’ego kuty w granicie” (cytujemy za prasą amerykańską). Frontową stronę tego wspaniałego pomnika prezentujemy powyżej naszym Czytelnikom. Na drugiej stronie pokazany jest sam „czcigodny” senator McCarthy „bez ubrania, walczący z węzami” (cytujemy za agencją „International News Service”). Węże symbolizują, rzecz jasna, „wywrotowców” zagrożających firmom nawet znacznie większym od sklepu mr. Brighta.

Jak informuje wspomniana agencja INS, pomnik strzeżony jest dniem i nocą przez specjalny oddział policji: „wywrotowcy” bowiem ozdabiają stale pomnik brzydkimi słowami i swastykami (mocno upstrzony został nawet goły senator McCarthy). Co więcej — wspaniały napis wykuty na cokole pomnika, który głosi, iż senator McCarthy jest „superpatrio-



ta”, przemalowany został na „Super Patriot” — straszny patriota.

Wszystko jednakże jest niczym, wobec niesłychanej wiadomości, która ostatnio zaalarmowała nie tyle opinię świata, ile samego senatora. Amerykańskie gestapo — FBI — zawiodło: pomnik znikł! Ktoś ukradł gołego McCarthy’ego wraz z węzami. Natychmiast postawiono na nogi całą policję, która po długich poszukiwaniach odkryła wreszcie szczątki pomnika na wielkim śmietniku koło Baltimore. To znaczy tam, gdzie powinien się znaleźć nie tylko sam pomnik, ale i jego model. W myśl amerykańskiego przysłowia: „The right man in the right place” — właściwy człowiek na właściwym miejscu.

### Z KRONIKI OBŁĘDU I HISTERII

Dziennik „San Francisco Chronicle” z dnia 30 marca 1953 donosi:

„Sześćdziesięciu siedmiu nowych pracowników administracji stanowej zgromadziło się dziś w sali obrad legislatury stanowej, by złożyć przysięgę służbową. Każdy z nich zaprzysiął, że nigdy nie

był członkiem partii komunistycznej. Nowi pracownicy są wszyscy w wieku lat 14 do 15, będą oni zatrudnieni w czasie wakacji jako gońcy”.

Podobno wkrótce przysięgę taką składać będą w Ameryce noworodki. Inaczej nie dostaną metryki urodzenia.

### EIN VOLK, EIN REICH, EIN...

„Schweidnitz” — symbolizowały apetyty neohitlerowskich militarystów, marzących o nowym „Drang nach Osten”. Głównym motywem dekoracyjnym sali kongresu była wielka mapa Śląska, opatrzona napisem „Schlesien — deutsch und ungeteilt” — „Śląsk — niemiecki i niepodzielny”.

Jak donosił brytyjski tygodnik „Illustrated” (z 22 sierpnia r.b.), na zjeździe kolońskim, jak i na wszystkich innych podobnych demonstracjach, rozbrzmiewało hasło hitlerowskie „Ein Volk, ein Reich”, brakło tylko jeszcze ostatniego ogniwa: „Ein Fuehrer”, które dopisać pragnie Adenauer o sobiście.



# TEATR ŚWIAT

Dyrekcja i tekst: JAN SZELAŁ  
Dekoracje i kostiumy: NA-GA  
Fragmenty z „Fausta” w tłum.  
EMILA ZEGADŁOWICZA

## ZAKAZAĆ!

Rzecz dzieje się współcześnie w gabinecie Konrada Adenauera. Za biurkiem — Adenauer. Przed biurkiem — jeden z jego zaufanych urzędników.

ADENAUER: No, a jak nastroje przedwyborcze?

URZĘDNIK: Hm. Hm.

ADENAUER: No tak, tak... A jak miłość Niemców do naszych okupantów... to jest, przepraszam, do naszych przyjaciół Amerykanów? Wzrasta?

URZĘDNIK: Tak, ale w pewien sposób... Niemcy wiele dyskutują o amerykańskiej arogancji... Wiele wypadków potwierdza najsurowsze zdania w tej sprawie... Na przykład...

ADENAUER: Niech pan mówi dalej. Na przykład...

URZĘDNIK: ...ten wypadek z Agnes Sorma.

ADENAUER: A któż to ta Agnes Sorma?

URZĘDNIK: Aktorka.

ADENAUER: I co się stało?

URZĘDNIK: Występowała w Ameryce w roli Małgorzaty w „Faustie”. I w pewnym mieście przyszedł do niej agent firmy „Singer”...

ADENAUER: To bardzo solidna amerykańska firma.

URZĘDNIK: Właśnie. I zaproponował jej, żeby wystąpiła nie przy kołowrotku, ale przy najnowszym modelu maszyny do szycia „Singer”. Zaproponował jej za to 100 dolarów.

ADENAUER: I co ona na to?

URZĘDNIK: Oburzyła się.

ADENAUER: 100 dolarów! To duża suma! Jak ona mogła!

URZĘDNIK: No właśnie.  
ADENAUER: A co ona miała robić przy tej maszynie do szycia?  
URZĘDNIK: Jak zawsze — śpiewać tę piosenkę:  
„Spokój mój przeminał,  
w sercu płomień burz...”  
ADENAUER: Jak to spokój mój przeminał, w sercu płomień burz? Co pan ma na myśli?  
URZĘDNIK: Nie... nic. To taka piosenka w sztuce „Faust”.

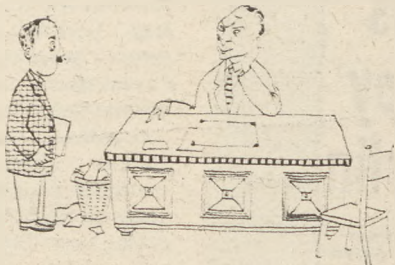
ADENAUER: Dziwne rzeczy. Ma pan tego „Fausta” przy sobie?  
URZĘDNIK: Proszę! O tu, ta piosenka.  
ADENAUER: Rzeczywiście!

„Spokój mój przeminał,  
w sercu płomień burz,  
nie zaznam spokoju  
nigdy, nigdy już.”

„Gdzież mój ukochany?  
Cóż z szukania prób?  
Cały świat bez niego  
czarny, zimny grób.”

„Płonie moja głowa,  
w myślach wir i szal,  
szczęście i pogodę  
ranny wicher zwał.”

„Spokój mój przeminał,  
w sercu płomień burz...”



URZĘDNIK: To właśnie ta piosenka...

ADENAUER: Zaraz, zaraz. Ładne rzeczy tu u nas się wystawia i jeszcze eksportuje do Ameryki... Ta piosenka to o kim?

URZĘDNIK: No, o pewnej biednej dziewczynie.

ADENAUER: Tak się panu zdaje. A pan nie pomyślał, że to może być o kancle-rzu republiki federalnej? A to, czyż nie o moich stosunkach z wysokim komisarzem Stanów Zjednoczonych?

„Puste moje życie,  
pusty jest mój dom,  
przyjechał wodami  
z ukochanym prom.”

„Jego chód wyniosły  
i postać czar,  
uśmiech ust prześliczny,  
oczu jego war,”

„Mowa jego — pienia  
wenecjańskich bark,  
uścisk jego dłoni,  
słodczy jego warg!”

I znów:  
„Spokój mój przeminał,  
w sercu płomień burz...”

URZĘDNIK: To rzeczywiście zastanawiające...

ADENAUER: Oho! Tu są jeszcze gorsze aluzje. To już nie o amerykańskim komisarzu piszą. To o kimś, kogo już nie ma, a kto też nosił tytuł kancle-rza. Słuchaj pan, słuchaj:

„Piersi moje tęsknią,  
moje piersi drżą,  
bez jego pieśnyczoty  
usychają, mżą.”

„Przy nim mego życia  
ostateczny schron,  
przećłować życie!  
Przećłować zgon!”

URZĘDNIK: ...przećłować zgon.

ADENAUER: Pan już rozumie, kogo autor oprócz mnie miał na myśli?

URZĘDNIK: Tak jakbym rozumiał.

ADENAUER: No więc! Jak się ten „dramat” nazywa? „Panzerfaust”?

URZĘDNIK: Po prostu „Faust”, panie kancle-rzu.

ADENAUER: Mniejsza z tym. Tę sztukę i tę książkę trzeba wyczołfać. Pan rozumie? Natychmiast! Zakazać!

URZĘDNIK: Ze względu na te wierszyki?

ADENAUER: Nie tylko. I ze względu na autora.

URZĘDNIK: Ze względu na autora?

ADENAUER: Tak, mój panie. Czy spoj-rzał pan na okładkę? Czy pan prze-czytał to nazwisko?

URZĘDNIK: Jo-han Wolf-gang Goe-the...

ADENAUER: Goethe! Goethe! Zakazać natychmiast! Małenków cytował go przecież w swoim przemówieniu na Kremlu! Zakazać! Zakazać! Zakazać! Natychmiast!

(Szeleszczą karty książki. Z nich wyla-nia się znana postać. Rośnie, ogromnie, wznosi się nad Adenauerem. Jest to Me-fistofeles)

MEFISTOFELES:

„...a nie głupszego na tej ziemi, jak diabeł zropaczony!”

KURTYNA

## Drodzy Czytelnicy!

Od ob. Jerzego Różyckiego z Pabianic, który jest — jak podaje — czytelnikiem „ŚWIATA” od pierwszego numeru, otrzymaliśmy list, zawierający rzeczową krytykę pewnych braków naszego pisma:

Autor ujął swe uwagi w 10 punktów. Oto ich treść:

„1. Tygodnik stanowczo za mało miejsca poświęca zagadnieniom kultury i sztuki, chcielibyśmy czytać coś, co by było interesujące i pouczające nie tylko z dziedziny rozbudowy przemysłu i problematyki wiejskiej...

2. Zbyt mało ukazuje się w „Świecie” opowiadań...

3. Przyjemnie byłoby przeczytać wywiady z naszymi artystami („Świat” kiedyś to zapowiedział, lecz... tylko zapowiedział).

4. Chętnie widziane byłyby popularno-naukowe artykuły z dziedziny medycyny”.

W punkcie 5 ob. Różycki proponuje zamieszczanie reprodukcji obrazów wybitnych malarzy. W punkcie 6 — prosi o publikowanie sylwetek biograficznych wielkich kompozytorów. W punkcie 7 — pisze:

„Choć współczesna rzeczywistość tak nas absorbuje, pasjonuje i porywa — to jednak nie zapominajmy o przeszłości. Tyle nasz naród posiada pięknych tradycji w walce o postęp i szczęście ludu...” I dalej: „Istnieje rubryka „Świat przypomina”, ale to za mało”.

„8. Czy nie byłoby możliwe stworzenie działu „Poznajmy piękno ziemi polskiej” — zadaniem którego byłoby zapoznanie czytelników z pięknem, zabytkami historycznymi i obecnym budownictwem w danym regionie Polski...”

Najostrzej sformułowany punkt 9 dotyczy „Teatru Świata”. Ob. Różycki pisze: „Okłaskiwałem tylko pierwszą, drugą, trzecią premierę, a potem przyszła nuda... „Teatr” zaczął odpychać mnie swą szablonową konwencjonalnością, utartą drogą. Ciągłe te same twarze, kostiumy i temat samej „sztuki”...

Wreszcie w ostatnim punkcie autor stwierdza, że „rozemieszczenie artykułów i zdjęć w poszczególnych numerach „Świata” jest trochę nierównomierne. Jeden numer jest mniej interesujący, a drugi bardziej”.

Tak więc ob. Jerzy Różycki, wytykając piśmu określone braki, wysunął równocześnie konkretne propozycje. Nie z wszystkimi uwagami ob. Różyckiego Redakcja może się zgodzić (np. z punktem 7 — piszemy wiele o naszych postępowych tradycjach niezależnie od działu „Świat przypomina”). Podajemy jednak wszystkie pod dyskusję Czytelników. Wydaje nam się bowiem, że wiele sugestii ob. Różyckiego zasługuje na uwagę i dalsze opinie na ten temat pomogą nam w zorientowaniu się, w jakiej mierze propozycje autora listu pokrywają się z życzeniami innych Czytelników.

„ŚWIAT”

## AMERYKAŃSKA POLITYKA SIŁY



Rys. St. Wielgus

## FILATELISTYKA

### NOWE ZNACZKI POLSKIE

Dla uczczenia III Światowego Kongresu Studentów w Warszawie (27.VIII — 3.IX.1953 r.) poczta polska oddała do obiegu dwie serie znaczków: ząbkowane o wartości 40 gr. — brązowy, 1,35 zł — zielony, i 1,50 zł —

niebieski oraz cięte (znaczki lotnicze) 55 gr. — fioletowy, 75 gr. — czerwono-pomarańczowy.

Znaczki zostały wykonane techniką rotograviurą, w formacie 31,25x25,5 mm.

Z. R.



— Troszkę na lewo, kochanie...

## NOWE KSIĄZKI

Nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Sport i Turystyka” na rynku księgarskim ukazało się ostatnio kilka nowych przewodników turystycznych. Oto ich tytuły: Na szlaku Lenina w Tatrach (praca zbiorowa, str. 105, zł. 7,50), Stanisław Pagaczewski — Rabka i Dolina Raby (str. 40, zł. 2,75), Bohdan Małachowski — Na szlakach powstania Kostki Napierskiego (str. 36, zł. 2,30), Czesław Piskorski — Wycieczki ze Szczecinka, Drawska i Polczy-na Zdroju (str. 44, zł. 3.—), Eugeniusz Wielewski — Jakakim z biegiem Nocy (str. 37, zł. 3.—), Czesław Piskorski — Wyspa Wolin (str. 64, zł. 11,50).

Przewodniki powyższe, starannie opracowane przez autorów, wydane są przeważnie w wygodnym kieszonkowym formacie. Treść ich — poza opisami krajoznawczymi i szczegółami informacyjnymi, niezbędnymi każdemu turystyce — uwzględnia także i przeszłość historyczną o-mawianych obszarów oraz poszczególnych miejscowości.

Broszurki zawierają ponadto pokaźną ilość zdjęć, które, niezależnie od strony opisowej, pozwalają zorientować się turystę w zabytkach, przyrodzie i kulturze regionalnej danej polaci kraju. Ze względu na te wszystkie cechy wydanie takich przewodników jest niewątpliwie cennym wkładem w dziedzinę popularyzacji turystycznej stosunkowo mniej znanych okolic Polski.

Niezależnie od strony informacyjnej przewodnik taki uczy mniej doświadczonego turystę, jak zwiedzać, jakie wybierać trasy wycieczek, jak najlepiej wykorzystać swój wolny czas, by n'e pominąć czegoś ciekawego.

Jedynym mankamentem wspomnianych wydawnictw jest w paru wypadkach ich stosunkowo wysoka cena, która może być istotną przeszkodą w ich rozprowadzeniu wśród najszerszych mas turystów, szczególnie młodzieży. Ceny tej, naszym zdaniem, nie usprawiedliwia ani forma wydania, ani objętość poszczególnych przewodników.

SWIAT

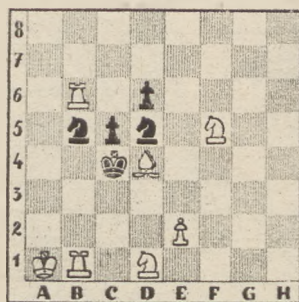
TYGODNIK ILUSTROWANY  
Redaguje Komitet  
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-00-81. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Zakłady Włókiendrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa”  
Warszawa, Okopowa 58/72.  
Zam. Nr 551. Papier rotogr. V/80—82 cm. — 4-B-16979

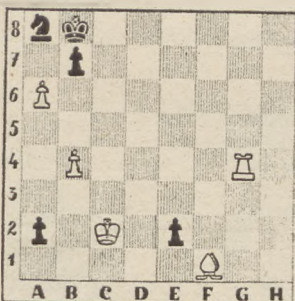
## SZACHY

### ZADANIE 11 N. Kaszcejew



Mat w 2 posunięciach  
(3 punkty)

### ZADANIE 12 Z. Birnow



Białe zaczynają i wygrywają  
(6 punktów)

#### PARTIA NR 77

grana w półfinałach XXI  
mistrzostw ZSRR

Gambit hetmański

Białe: R. Cholew

Czarne: W. Panow

1. d2-d4 Sg8-f6 2. c2-c4  
e7-e6 3. Sb1-c3 d7-d5 4.  
Gc1-g5 Sb8-d7 5. e2-e3 c7-  
c6 6. Sg1-f3 Gf8-e7 7. Wa1-c1  
o-o 8. Gf1-d3 a7-a6 9. o-o  
d5:c4 10. Gd3:c4 b7-b5 11.  
Gc4-b3

Bardziej naturalne jest 11.  
Gd3

11... c6-c5 12. Hd1-e2 Gc8-  
b7 13. Wf1-d1 c5-c4?

Należało grać 13... Hb6 Te-  
raz białe uzyskują przewagę  
w centrum.

14. Gb3-c2 Sf6-d5 15. Gg5:  
e7 Hd8:e7 16. e3-e4 Sd5:c3  
17. b2:c3 Wa8-b8 18. a2-a4  
Sd7-b6 19. a4:b5 a6:b5 20.  
Wc1-b1 Gb7-c6 21. He2-e3  
Gc6-d7

Nie można było grać 21...  
Wa8 ze względu na 22. d5!

22. Wb1-b4 f7-f6 23. h2-h3  
Wb8-b7 24. Wd1-a1 Wf8-a8

Trzeba było grać 24... Wfb8.  
Po posunięciu w tekście białe  
uzyskują przewagę.

25. Wa1:a8+ Sb6:a8 26. e4-  
e5 f6-f5

Groziło 27. He4 Słabe było  
26... Gc6, ze względu na 27.  
e:f6 H:f6 28. Ge4 Gd5 29. G:d5  
e:d5 30. W:b5! W:b5 31. He8+  
27. d4-d5!

Białe oswobodzają pole d4  
dla skoczka.

27... Sa8-b6

Czarne obawiały się 27...  
e:d5 28. Sd4 g6 29. e6 Ge8 30.  
He5 ze znaczną przewagą  
białych. Jednakże i po posu-  
nięciu w tekście czarne sto-  
ją źle.

28. d5-d6 He7-d8 29. Sf3-  
d4 Sb6-d5 30. He3-f3 Wb7-  
a7

Znacznie silniejsze było 30...  
g6 Teraz białe szybko wy-  
grywają.

31. Sd4:f5! Sd5:b4 32. Sf5-  
e7+ Kg8-h8 33. Gc2: h7!  
Gd7-e8

Posunięcie czarnych paruje  
groźbę 34. Hh5 ale białe ma-  
ją jeszcze inne możliwości  
prowadzenia ataku.

34. Hf3-f8+ Kh8:h7 35.  
Hf8-g8+ Kh7-h6 36. Hg8-  
h8+ Kh6-g5 37. Hh8:g7+  
Kg5-f4 38. Hg7-g3+ Kf4-e4  
39. Hg3-e3 mat.

## MECZ SZACHOWY „Świat” – Czytelnicy

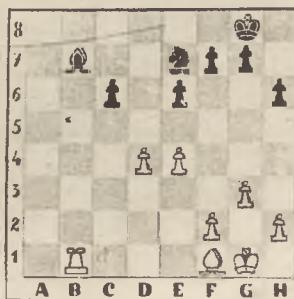
W wariantcie W1 Czytelnicy  
byli oczywiście jednomyślni,  
odpowiadając 38... Ga8:b7.

W partii W200 natomiast  
głosy były rozbite, przy czym  
najwięcej Czytelników zde-  
cydowało się na posunięcie

38... h7-h5 (34,2%), wyprze-  
dzając nieznacznie zwolenni-  
ków ruchu 38... b5-b4 (31,8%)

Po uwzględnieniu kolejne-  
go posunięcia Redakcji partie  
nasze wyglądają następująco:

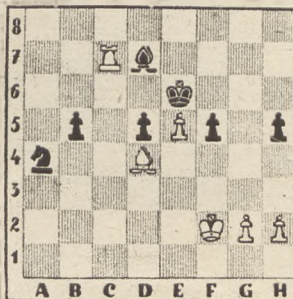
#### PARTIA W1



37. b6-b7 Wb8:b7  
38. Sa5:b7 Ga8:b7  
39. Wc1-b1

Przypominamy, że odpowiedzi na 39 posunięcie Redakcji  
należy wysłać najpóźniej we wtorek, 8 września.

#### PARTIA W200



37. Wc1:c2 b6-b5  
38. Wc2-c7 h7-h5  
39. Kg1-f2

## ROZRYWKI UMYSŁOWE

### ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 98

ROZETKA. Prawoskośnie  
dośrodkowo: pupil, keton, Ne-  
ron, Pamir, Pekin, Dekan, ra-  
don, fular, Samos, sobek, ta-  
lar, Timur, muzyk, razem, me-  
tan, wazon, Delos, Sopot. Le-  
woskośnie dośrodkowo: Polon,  
kupon, Nepos, petit, parol, de-  
mon, rekin, fakir, Sudan, sa-  
lon, toman, tabor, miles, ru-  
mak, mazur, wezyr, datek, se-  
zam.

Za dobre rozwiązanie za-  
dania z nr. 98 nagrody książko-  
we otrzymują:

1) K. Abramczuk — War-

szawa, ul. Filtrowa 79, 2) Z.  
Bezek — Warszawa, ul. Czar-  
nieckiego 50, 3) W. Bialecki —  
Olsztyn, ul. Hanki Sawickiej,  
PGR, 4) T. Bogucki — Trzeb-  
nica, ul. Stalina 10, 5) S. Bań-  
dos — Jawor, ul. Zielona 2, 6)  
D. Chromińska — Mrągowo,  
Liceum Pedagog., 7) Z. Czap-  
licki — Staliność, ul. Sza-  
franka 1, 8) A. Górski — Ra-  
dom, ul. Żeromskiego 58, 9)  
S. Grabowski — Płock, ul.  
Piekarska 17, 10) I. Leonar-  
czyk — Łódź, ul. Wysoka 21,  
11) I. Łańcut — Miedzeszyn,

ul. Spacerowa 4, 12) A. Modze-  
lewska — Komorów, p-ta  
Pruszków, 13) B. Naryskiewi-  
czówna — Łódź, ul. Gdańska  
106, 14) A. Popper — Oborniki  
Śląskie, Sanat. „Leśne”, 15)  
S. Puacz — Milanówek, ul.  
Długa 22, 16) A. Pudełek —  
Kraków, ul. Krakowska 4, 17)  
S. Rogala — Łódź, ul. Zbo-  
cze 6, 18) T. Szulik — Rusko-  
łeki, p-ta Jasienica, 19) M.  
Suiżewska — Koszalin, ul.  
Wróblewskiego 24, 20) J. Wa-  
natowicz — Kraków, ul.  
Tstrowskiego 84.

## PRACUJĘ I DBAM O SWÓJ WYGLĄD...



Mam wrażliwą cerę, a jednak  
nie unikam wiatru ani słońca.  
Przebywam bez obawy całe  
dni na powietrzu, gdyż uży-  
wam kremu tłustego „LECHIA”  
lub „MIRACULUM”, który  
chroni moją twarz przed  
szkodliwymi wpływami atmo-  
sferycznymi i zapewnia rów-  
nomierne opalanie.



## TANIO i ŁADNIE



U góry: dziewczęca suk-  
nia codzienna z granato-  
wej albo brązowej wełny  
(może być także z samo-  
działu szarego lub bru-  
natnego). Polecamy ją  
przede wszystkim student-  
kom.

U dołu na lewo — suk-  
nia pod płaszcz z jasnej  
wełenki. Góra kimonowa  
z białą, jedwabną kami-  
zelką, dół plisowany.

Obok żakiet jesienny,  
dopasowany, z grubej weł-  
ny lub samodziału.



# Z teki ANTONINA PELCA

**J**EDEN z najwybitniejszych współczesnych karykaturzystów czechosłowackich, Antonin Pelc, urodził się 16 stycznia 1895 r. w Lisanech. Po ukończeniu szkoły średniej wstąpił do Akademii Sztuk Plastycznych w Pradze, gdzie kolejno studiował w klasie prof. V. Bukovace i w klasie prof. M. Pirnera (1913 — 1916); u tego ostatniego robi absolutorium.

W roku 1916 zostaje powołany do wojska i bierze udział w pierwszej wojnie światowej.

W 1919 r. nawiązuje współpracę z czasopismem „Sibienicky“. Tu rozpoczyna się jego działalność karykaturzysty politycznego, która, niezależnie od działalności malarskiej, trwa do chwili obecnej.

W okresie dwudziestolecia międzywojennego wyraźnie zarysowuje się oblicze artystyczno-polityczne Antonina Pelca — staje się on jednym z najzaciętszych przeciwników faszyzmu, z którym walczy swoją znakomitą sztuką.

Po okupowaniu Czech przez Hitlera w 1939 r. ucieka do Francji (razem z drugim znakomitą karykaturzystą czechosłowackim, Adolfem Hoffmeisterem). Pétainowski rząd francuski aresztuje obu artystów. W 1940 r. udaje się im wyjechać do Stanów Zjednoczonych, gdzie Pelc tworzy wiele bojowych karykatur i plakatów politycznych.

Po zakończeniu wojny natychmiast wraca do kraju i w 1946 r. obejmuje katedrę w wyższej szkole artystyczno-przemysłowej w Pradze.

Antonin Pelc jest grafikiem sławy światowej. Prace jego były wystawiane poza Czechosłowacją: w Wiedniu (1931), w Verviers-Liege (1934), w Sztokholmie (1934), w Paryżu (1935), w Moskwie (1937), New Yorku (1942), Montrealu (1944), w Londynie (1944) i w Warszawie (1945 r.).

W 1951 r. Antonin Pelc zostaje odznaczony Czechosłowacką Państwową Nagrodą Artystyczną.

Ost.



Imperializm kolonialny wczoraj...



...i dziś

(„Dikobraz“, 1952)



Ostatnie dni Berlina (Free World, 1945)



Bez podpisu (New-York, 1945)



Dwie kultury (1952)



(Simplicus, 1934)

— Dawniej wyrzucano nas na bruk, dziś jest inaczej, mamy już asfalt!